

Leah Martyn

Wróć do mnie

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Riley, pocierając kłykciami twardą szerść nieogolonej brody, wyglądał przez okno kołującego na miejsce postojowe samolotu. Nareszcie w domu.

Siedział jak na szpilkach, najchętniej wyskoczyłby z maszyny, zanim ta się na dobre zatrzyma. Wziął się jednak w karby i na pozór cierpliwie czekał, aż sąsiedzi od strony przejścia pozdejmują z półek podręczny bagaż i włączą się w karawanę wysiadających, drepczącą powoli ku wyjściu. Dopiero wtedy podniósł się z fotela.

Znalazłszy się w jasno oświetlonej hali krajowego portu lotniczego Brisbane, rozejrzał się odruchowo w poszukiwaniu żony. Ale zaraz uświadomił sobie, że jej tu nie ma. Czy Jane wyszłaby po niego, gdyby ją o to poprosił? Raczej wątpliwe.

Nie wiedziała jeszcze, że wrócił do Australii. Przez ostatni rok nie utrzymywali praktycznie kontaktów. Napisał do niej zaraz po przyjeździe do Nigerii, a potem jeszcze raz, kiedy postanowił przedłużyć o kolejne sześć miesięcy swój kontrakt z Medicins Sans Frontieres.

Nie odpisała.

Przez wargi Rileya przemknął ironiczno-gorzki uśmiech. Musi być na niego więcej niż obrażona.

Bez kłopotu znalazł taksówkę i wrzucił do niej torby. Było za późno, żeby wpadać bez zapowiedzi do rodziców, kazał więc taksówkarzowi wieźć się do pięciogwiazdkowego miejskiego hotelu. Raz się żyje. Zresztą po takim roku zasłużył sobie chyba na odrobinę luksusu. Wykorzysta go do maksimum, pławiąc się długo ze szklaneczką dobrej whisky w najgorętszej kąpieli, jaką będzie w stanie znieść jego ciało.

A jutro? Przeczesał palcami ciemne włosy. Jutro weźmie się za bary z niełatwym zadaniem odbudowy swego małżeństwa. Wystarczy, że znalazł się z powrotem w Brisbane, a już obudziły się wspomnienia. Pamiętał dokładnie

dzień, w którym przyniósł do domu informacje o Medecins Sans Frontieres - Lekarzach bez Granic. Ten krok, musiał przyznać, zmienił radykalnie ich życie. Było to we wrześniu ubiegłego roku, pięć tygodni po piątej rocznicy ślubu...

Następnego dnia Jane wyszła przed nim ze szpitala, w którym oboje pracowali. Potem robiła tak coraz częściej. Nie jeździli już razem do pracy i nie wracali razem do domu, przestali dzielić się wrażeniami z kończącego się dnia. Jane tłumaczyła, że potrzebuje niezależności, którą daje jej własny samochód. Że ma coś do zrobienia w domu.

Riley jej nie wierzył.

Odnosił wrażenie, że zaczęła go unikać. Jedynie w swoje płodne dni zaciągała go do łóżka. Przez niemal cały tamten rok starali się począć dziecko.

Na próżno.

Po sześciu miesiącach zrobili sobie badania. Nie wykazały niczego niepokojącego, jeśli nie liczyć lekkiej anemii u Jane. Specjalista radził im uzbroić się w cierpliwość. W swoim czasie dojdzie do poczęcia. Ale z tą cierpliwością nie było u Jane najlepiej. Dostała jakiejś obsesji na punkcie macierzyństwa, wszystko inne przestało się dla niej liczyć.

Tamtego ranka strasznie się pokłócili. Riley zarzucił jej, że wykorzystuje go w charakterze rozplodowego ogiera, ona jemu, że jest egoistą i ani trochę nie zależy mu na dziecku. Czy nie widzi, ile to dla niej znaczy?

Ciężkim westchnieniem skwitował to wspomnienie. Taksówka była już w Hamilton. Jechali Kingsford - Smith Drive, wzdłuż brzegu rzeki Brisbane. Widok cumujących tu jachtów i barek mieszkalnych obwieszonych mrugającymi lampkami poruszył w nim czułą strunę. Wszystko to było takie znajome, można by pomyśleć, że przez ostatni rok nic się nie zmieniło. Ale dla niego zmieniło się wszystko.

Ponownie cofnął się myślami do tamtego dnia sprzed roku. Po powrocie z pracy zastał Jane w kuchni. Przyrumieniała mięso na gulasz. Pamiętał kuszący aromat czosnku i tuzina innych przypraw rozchodzący się po domu.

- Cześć - powitał ją ciepło. - Coś tu smakowicie pachnie. Spojrzała na niego i uniosła pytająco brwi na widok komputerowego wydruku, który rozpostarł na stole.

- Co tam masz?

- Informacje z Internetu o Lekarzach bez Granic.

- Po co ci one?

Nie odpowiedział. Przykryła pokrywką rondel i wsunęła go do kuchenki. Potem umyła ręce i podeszła do stołu.

Riley wyczuł jej napięcie i zareagował natychmiast. Trzeba coś zrobić, i to szybko, bo jeśli nie przerwą tego emocjonalnie wyczerpującego cyklu, w który nie wiedzieć jak wdepnęli, źle to się dla nich obojga skończy.

Mając jeszcze w pamięci przykre słowa, którymi przerzucali się rano, przybrał pojednawczy ton:

- Dwa lata temu rozmawialiśmy o poszerzeniu naszych lekarskich horyzontów, pamiętasz?

- Masz na myśli podpisanie kontraktu z Medecins Sans Frontieres? - zapytała. - O ile sobie przypominam, doszliśmy wtedy do wniosku, że jest na to za wcześnie. Chyba nie chcesz mi zasugerować, że już do tego dojrzeliliśmy. Co, Riley?

- A nie?

- Nie, do ciężkiej cholery!

Z trudem nad sobą zapanował.

- Posłuchaj, Jane, to mogłaby być odskocznia, której nam teraz tak bardzo potrzeba - spróbował tonem perswazji. - Moglibyśmy wstrzymać się z tym dzieckiem, wrócić na jakiś czas do pigułek i trochę odreagować. A przy okazji pomogliśmy tym, dla których los był mniej łaskawy,

spojrzeli na wszystko z nowej perspektywy, zrobili ze swoim życiem coś konstruktywnego. Tylko na sześć miesięcy.

- Naszych starań o dziecko nie uważasz za konstruktywne? - odparowała. - Ależ z ciebie samolubny typek, Riley. Może zamiast owijać w bawełnę i robić sobie z Lekarzy parawan, powiedziałbyś prosto z mostu, że nie chcesz mieć dziecka?

- Tak, masz rację! - Rąbnął pięścią w stół. - Mam po dziurki w nosie twojej obsesji na punkcie urodzenia dziecka! Czy zdajesz sobie sprawę, że jeśli tak dalej pójdzie, to możemy nigdy go nie mieć?

Otóż to! Utrafił w sedno, zbuntował się wreszcie przeciwko emocjonalnej i psychicznej presji, którą narzuciła. Jak mogła nie zdawać sobie sprawy z poczucia bezsilności, które go ogarnia na widok jej rozczarowanej miny, kiedy miesiąc po miesiącu z punktualnością, według której można regulować zegarki, przychodzi okres?

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Tobie właściwie nie zależy na założeniu prawdziwej rodziny, mam rację, Riley?

- W tej chwili nie, Jane, nie zależy mi. Przykro mi; ale zamiast mieć tuzin dzieci, wolałbym, żeby między nami było jak dawniej: tylko ja i ty, szczęśliwe małżeństwo.

Przez kilka następnych dni atmosfera była lodowata. W szpitalu udawało im się od biedy siebie unikać, ale w domu...

- Jesteśmy na miejscu, panie kliencie. Quay West. - Głos taksówkarza wyrwał Rileya z zadumy. Wjeżdżali pod markizę nad wejściem do prestiżowego hotelu.

Zapłacił za kurs, dorzucając suty napiwek. Kierowca na niego zapracował. Wyczuł od razu, że pasażer nie ma ochoty na pogawędkę, nastawił w radiu jakąś lekką muzykę i nie odezwał się przez całą drogę z lotniska.

Riley przestąpił próg apartamentu na szóstym piętrze i z marszu przypuścił szturm na barek. Z dużą szkocką z wodą w dłoni wyszedł na balkon. Zamrugały do niego światła miasta.

Choć pora była późna, zdecydował się zatelefonować do Jane pod ich stary numer, lecz czekało go rozczarowanie. Automatyczna sekretarka poinformowała go, że dodzwonił się do jakiegoś Bena i Tracy, którzy z miłą chęcią do niego oddzwonią, jeśli tylko zostawi swoje nazwisko i numer. Nie skorzystał z oferty.

W związku z powyższym musiał teraz przyznać w duchu, że sytuacja jest poważniejsza, niż myślał. Jego żona najwyraźniej nie rzucała słów na wiatr i zrobiła tak, jak zapowiadała. Pociągnął niespiesznie długi łyk i zaczął odtwarzać z pamięci przykre wydarzenia ostatnich kilku dni przed wyjazdem z kraju...

Pewnego razu pod koniec dnia pracy wszedł niezapowiedziany do jej gabinetu.

- Musimy porozmawiać, Jane.

Stała przy oknie zapatrzona w przestrzeń. Odwróciła się na dźwięk jego głosu.

- Nie można z tym poczekać, aż znajdziemy się w domu?

- Nie. Tak dalej być nie może. Jesteś pewna, że nie chcesz podjąć ze mną pracy za granicą?

Zaczęła obracać ślubną obrączkę na palcu.

- A więc nadal jesteś zdecydowany jechać?

Krtań mu się ścisnęła. Jane wyglądała tak bezbronne, twarz miała taką bladą. Starła się nadrabiać miną, ale wiedział przecież, że jest rozbita emocjonalnie.

Cóż, witaj w klubie, pomyślał i wzruszył ramionami.

- Czuję, że się tu duszę.

- Z mojej winy?

- Nie, okoliczności.

- Riley, tak sobie myślę... - Podeszła do niego, rozpuszczając po drodze włosy i potrząsając nimi. - Jeśli tak ci zależy na zmianie klimatu, to nic nie stoi na przeszkodzie - wyrzuciła z siebie drżącym głosem. - Moglibyśmy, na przykład, przenieść się na wieś, podjąć tam pracę w przychodni, kupić dom z ogrodem...

- Dorzucić do tego huśtawkę i drzewo mango - zakpił. - Może jeszcze przygarnąć psa i kotka. Nie, zapomniałem, że nie lubisz kotów.

- Riley, proszę cię, posłuchaj...

- Nie! - Machnął niecierpliwie ręką, - Zmienilibyśmy tylko jeden beznadziejny splot okoliczności na inny, Jane. Czy to do ciebie nie dociera? Chodzi o to, że i tam chciałabyś mieć dziecko...

- Ależ z ciebie zimny drań! - wybuchnęła. - Robisz ze mnie jakiś wybryk natury, wariatkę. - Na policzki wystąpiły jej rumieńce. Odrzuciła w tył głowę. - Może i dobrze, że tak się stało! - Patrzyła na niego rozplómiętym wzrokiem. - Nareszcie się na tobie poznałam. I szczerze wątpię, czy chciałabym cię na ojca swoich dzieci!

- Chyba nie mówisz poważnie. - Miał wrażenie, że czyjeś wielkie łapsko chwyciło go za serce i powoli wyciska z niego krew. Potrząsnął głową i przełknął z trudem. - Nie rozumiesz, że tylko wyjazd na kilka miesięcy może mnie uratować przed obłądem?

- I oczywiście zawsze musi być tak, jak ty chcesz. Nie wolno nam denerwować Rileya!

- Nie będę tego dłużej słuchał - warknął. - Jeśli nie chcesz ze mną jechać, pojedę sam. Wracam teraz do domu, pakuję najpotrzebniejsze rzeczy i przeprowadzam się do rodziców. Jeśli zmienisz zdanie, wiesz, gdzie mnie szukać.

- Riley?

Obejrzał się od drzwi z cichą nadzieją, że jednak zmieniła zdanie.

- Tak?

- Nie zdziw się tylko, jeśli nie zastaniesz mnie tu po powrocie.

Na wspomnienie tych słów wzdrygnął się i powrócił do terażniejszości. Postanowił wziąć prysznic. Perspektywa długiego wylegiwania się w gorącej kąpieli przestała go nagle pociągać. Dopił jednym łykiem szkocką. Był idiotą, jeśli oczekiwał, że będzie tu przykładowie czekała na jego powrót. Zbyt wiele między nimi zaszło.

Odwrócił się na pięcie i wszedł do pokoju. Wszystko wskazuje na to, że jego żona rozpoczęła nowe życie. Tylko gdzie? I - tfu, na psa urok - z kim? Musi się tego dowiedzieć. Musi ją znaleźć - i znajdzie.

Jane Rossiter wyszła z zebrania personelu przychodni zdrowia w Mount Pryde w stanie lekkiego szoku.

Po powrocie z urlopu stwierdziła, że starsi współpracownicy, Ralph Mitchell i Angelo Kouras, postawili ją przed faktem dokonanym, zatrudniając nowego lekarza, Rileya Brennana.

- Doktor Brennan jest dla nas cennym nabytkiem - wywodził Ralph Mitchell z błyskiem w szarym oku. - Z rozmowy wstępnej wynika, że bardzo go pociąga praca na wsi. A do tego ma za sobą kilka miesięcy praktyki w Lekarzach bez Granic. - Ralph był wyraźnie pod wrażeniem.

- Wiem o tym... - Przygryzła wargi, żołądek ścisnęła jej panika. Co powiedzieć? Wyjawić im teraz, że ona i Riley są...

- Mam nadzieję, że nie uznasz nas za antyfeministów, Jane. - Angelo Kouras błysnął w uśmiechu białymi zębami, które odcinały się od ciemnooliwkowej cery zdradzającej jego greckie pochodzenie. - Ale jeśli mam być szczery, to wszystkie kobiety lekarze, które starały się u nas o pracę, były niedoświadczone, a do tego nie zamierzały, że tak powiem,

zagrzać tutaj miejsca. A nam potrzeba kogoś, kto jest zdecydowany zapuścić tu korzenie.

- Oddaliśmy mu do dyspozycji to służbowe mieszkanie nad przychodnią, dopóki nie znajdzie sobie jakiegoś stałego lokum - wtrącił Ralph.

Jane otworzyła i zamknęła usta. To rozwiązuje przynajmniej jeden dylemat, ale sytuacja nadal była nie do zaakceptowania. Musi coś powiedzieć...

- Czy doktor Brennan wie, że czwartym członkiem zespołu jestem ja?

- Ależ naturalnie. - Ralph spojrział na nią ponad zsuniętymi na czubek nosa okularami. - Wyjaśniliśmy mu, że nie uczestniczysz w rozmowie wstępnej tylko dlatego, że jesteś na kilkudniowym urlopie.

Z tego wynikało, że Riley nic im nie powiedział. Jaką grę prowadzi? Uniosła rękę i założyła za ucho niesforny kosmyk kasztanowych włosów.

- Kiedy się wprowadza?

- W ten weekend - odparł Ralph, przekładając papiery na biurku. - A swoją drogą, dziękuję ci, Jane, że przyszłaś, chociaż właściwie jesteś jeszcze na urlopie.

- Nie ma za co. - Jane zdobyła się na uśmiech. - I tak dziś rano wróciłam.

Ralph kiwnął głową i usiadł prosto, dając tym do zrozumienia, że to nieformalne zebranie dobiegło końca.

- To do poniedziałku.

Jane wyszła z przychodni, wsiadła do małej kremowej mazdy metro i pojechała do domu.

Mieszkała w małym domku, który kupiła po zakończeniu trzymiesięcznego okresu próbnego w Mt Pryde, kiedy posadę lekarza rodzinnego miała już zapewnioną. Zamierzała tu zostać. Odpowiadało jej spokojne życie w tym małym prowincjonalnym miasteczku na południowym wschodzie

Queensland, zachwycało piękno pobliskich gór i malowniczość falujących łąk, na których pasły się stada bydła.

Skrecając na swój podjazd, Jane westchnęła. Ciężko pracowała, by zostać lekarzem i znaleźć pracę w takim jak to miejscu. W swej naiwności myślała, że Riley w końcu zrozumie, że ona osiadłe życie i rodzinę ceni sobie ponad wszystko. Ale popsuło się między nimi, kiedy zaproponował, by zrezygnowali oboje z pracy w dużym prywatnym ośrodku zdrowia w Brisbane i poświęcili się niesieniu pomocy medycznej mniej uprzywilejowanym mieszkańcom świata.

Ale to była tylko zasłona dymna. Skrzywiła się z obrzydzeniem. Pretekst do rozbicia ich małżeństwa. Trudno jej było teraz o tym myśleć. Ta rana jeszcze się nie zagoiła. Ale musi...

Przerażała ją cisza i pustka w mieszkaniu po jego wyprawie do rodziców. Wszystko jej go przypominało, a upłynął dopiero tydzień. Zastanawiała się, jak przetrwa sześć długich miesięcy. Grożąc Rileyowi, że nie zostanie jej po powrocie, nie mówiła serio. Po jakimś czasie zrozumiała jednak, że nie wytrzyma, że musi stamtąd uciec. Sytuacja wymagała ratowania się za wszelką cenę. Złożyła wymówienie.

W Mt Pryde znalazła to, o czym zawsze marzyła. Na rozmowie wstępnej wypadła dobrze, a ponieważ zachowała panieńskie nazwisko i z jej papierów nie wynikało, że jest mężatką, uznana została za osobę samotną.

Cieszyła się jak dziecko, kiedy powiadomiono ją, że została przyjęta. W pierwszym odruchu chciała zawiadomić o tym Riley'a, ale szybko przyszło otrzeźwienie. Jego to nie obchodzi.

Podjął swoją decyzję, ona podjęła swoją...

ROZDZIAŁ DRUGI

Straszne rozterki związane z przybyciem męża do Mt Pryde przez pół nocy nie dawały Jane zasnąć. Czy nie przyjdzie mu czasem do głowy, żeby ją odwiedzić? Jak się zachować, kiedy w poniedziałek spotkają się w przychodni?

Spokojnie, powtarzała sobie, ale w dołku nadał ją ścisła.

Na śniadanie przyrządziła sobie owsiankę, jak za starych, dobrych studenckich czasów, kiedy zwyczajna kasza owsiana była tańsza i chyba bardziej pożywna od reklamowanych firmowych płatków śniadaniowych.

„Ma pani osobliwe nawyki, doktor Rossiter”, mawiał żartobliwie Riley na początku ich małżeństwa. Po czterech latach, kiedy zapragnęła dziecka, zmienił się i ich małżeństwo zaczęło się rozsypywać jak domek z kart.

Usiadła na sosnowym kuchennym krześle, sięgnęła drżącą ręką po łyżkę i zanurzyła ją w misce. Jadła niemal mechanicznie i w pewnej chwili przyłapała się na tym, że wspomina upojne chwile spędzone z Rileyem. Odpędziła od siebie te myśli. Odszedł, klamka zapadła. Jego powrót niczego nie zmienia. Co jej odbiło, że wraca pamięcią do tamtych dni? Musi się czymś zająć.

Wstała energicznie z krzesła, pozmywała szybko naczynia i wyszła do ogrodu. Ta zarośnięta dżungla powinna zapewnić jej zajęcie na lata.

Zapach kwiatów unoszący się w powietrzu przyprawiał o zawrót głowy. Schyliła się, by uruchomić zraszacz i skierowała jego wylot na klomb petunii i stokrotek. Dwa wielkie, brązowo - złote liście opadły z drzewa pod jej nogi.

Po godzinie pracy uznała, że wystarczy. Ściągnęła gumowe rękawice i z ulgą rozprostowała zeszywniałe palce. Ale miała do zrobienia coś jeszcze. Dolny zawias furki do paprotnika wisiał na włosku.

Westchnęła z rezygnacją i pogrzebawszy chwilę w skrzynce z narzędziami, wybrała dwa śrubokręty. Któryś z nich na pewno się nadaje. Przykucnęła przy furtce i zaczęła wykręcać śrubkę.

- O cholera! - mruknęła pod nosem, kiedy śrubokręt wysunął się jej z ręki i upadł na ziemię.

- Co tam majstrujesz?

Zesztywniała, żołądek podszedł jej do gardła. Kątem oka dostrzegła parę solidnych skórzanych butów.

- A jak myślisz? - odparowała zaczepnie. Była zupełnie nie przygotowana na lawinę emocji, która runęła na nią, kiedy obok przykucnął mąż.

- Daj, ja to zrobię. - Riley wyciągnął rękę.

Jane odetchnęła płytko i ruchem instrumentariuszki podającej chirurgowi skalpel, wklepnęła mu śrubokręt w otwartą dłoń. Podniosła się z kucek i spojrzała z góry na jego szerokie ramiona obleczone w granatową koszulkę polo i falujące miarowo w rytm obrotów ręki wykręcającej ze słupka grubą śrubę.

Wstał jednym płynnym ruchem i obrzucił fachowym spojrzeniem furtkę.

- Ten górny też ledwie się trzyma. Zardzewiał.

- Zostaw - fuknęła Jane. - Poproszę Grega, on się tym zajmie.

- Jakiego Grega? - W ciemnych oczach Riley'a zapaliły się iskierki podejrzliwości.

Naszła ją pokusa, by nie wyprowadzać go z błędu. Niech sobie wyobraża, co chce. Nie uległa jej jednak.

- To syn jednego z moich pacjentów. Nastolatek. Pomaga mi czasem w ogrodzie.

- Powinnaś nosić kapelusz.

Z jej wystudiowanej oziębłości nic nie zostało, gdy Riley uniósł rękę i środkowym palcem pogładził ją po policzku.

Poczuła, że dostaje gęsiej skórki. Dobiegł ją znajomy zapach wody kolońskiej.

- Jesteś przecież lekarzem i wiesz z zawodowego doświadczenia, jakie są skutki zbyt długiego przebywania na palącym słońcu.

- Smaruję się kremem do opalania - odparowała Jane. - Jadłeś śniadanie?

Spojrzał jej głęboko w oczy.

- Nie jestem głodny.

- To może kawy? - Oblizwała spierzchnięte nie wiedzieć czemu wargi. Nie odpowiadał. Wyczuwała, że jest spięty. Najwyraźniej mobilizował całą siłę woli, żeby nie wziąć jej w ramiona. - Riley? - powtórzyła.

Przeczesał palcami ciemną szopę włosów i westchnął.

- Niech będzie... chyba że masz mi coś innego do zaproponowania.

Przeszyła go morderczym spojrzeniem, odwróciła się i ruszyła ścieżką prowadzącą do kuchni. Tam włączyła ekspres do kawy i wyjęła z szafki kubki. Ręce miała jak nie swoje.

Kątem oka obserwowała Rileya, który z dłońmi wsuniętymi w kieszenie spodni zwiedzał połączoną z jadalnią kuchnię ciągnącą się przez całą szerokość domu. Zacisnęła mocno usta na myśl, jakie to smutne i przygnębiające, że właściwie nawet się nie przywitali.

Z tych kilku ukradkowych spojrzeń, jakimi go obrzuciła, wynikało, że fizycznie właściwie się nie zmienił. Może tylko postarzał się troszeczkę, zmęźniał. Zauważyła też pierwsze pasemka siwizny w jego gęstej czuprynie. Ale oczy pozostały te same. Potrafiły rozbroić malującą się w nich czułością, a zaraz potem stać się czujne, nieufne.

Przełknęła nerwowo ślinę, tłamsząc w sobie burzę zmysłów, które ożyły na jego widok. Stracili cały rok, rok, który powinni spędzić razem. Za parę tygodni przypadają

trzydzieste dziewiąte urodziny Rileya. Ciekawe, czy będą mieli co celebrować, kiedy ten dzień nadejdzie...

- Ładnie mieszkasz - orzekł w końcu Riley, odciągając sobie krzesło i siadając przy sosnowym stole. - Kupiłeś ten domek?

- Tak. - Spuszczając głowę, postawiła przed nim talerzyk z dwoma kawałkami owocowego placka.

Parsknął śmiechem.

- Zdażyłem już zauważyć, że dla dopełnienia obrazu masz tu obligatoryjnego mangowca i klomb z różami.

- I co z tego? - Zaczynały puszczać jej nerwy. Postawiła na stole tacę z dzbankiem i kubkami i napełniła te ostatnie kawą. - Dla ciebie jak zwykle czarna z jedną łyżeczką cukru?

Riley przetarł dłonią oczy.

- Co? A tak, dziękuję. Co za aromat!

Jane wzięła z talerzyka kawałek placka. Udawała, że je ale miała wrażenie, że każdy okruszek staje jej ością w gardle. Riley też wyglądał na skrepowanego. Boże, trzeba rozładować jakoś atmosferę.

- Jak mnie znalazłeś?

- Cóż, nie odzywając się do mnie przez ten rok, z pewnością nie ułatwiłaś mi zadania.

Jane zacisnęła konwulsyjnie palce na uszku kubka.

- Powiedzieliśmy sobie wszystko, Riley. Nie miałam nic więcej do dodania.

Wzruszył ramionami, ignorując jej słowa.

- Zadzwoiłem do Carol - mruknął.

Do jej matki. Jane spuściła wzrok. Mogła się spodziewać, że od tego zaczniesz. Matka patrzyła w zięcia jak w obrazek. ..

- Jakie to szczęście, że mieli tu dla ciebie etat.

- Tam do diabła, Jane - warknął. - Nie przyszedłem tutaj rozmawiać o pracy! Chcę się dowiedzieć, na czym stoimy.

- Tylko tyle?

- Nie, nie tylko. - W jego głosie pojawiło się napięcie. Spojrzał na nią sponad krawędzi kubka. Był wstrząśnięty, że tak szybko zaczął znowu jej pożądać. Zapomniał, jaka jest śliczna.

- Gdzie się tak opaliłeś? - wybąkała.

- W tropikach o to nietrudno. - Przykrył jej dłoń swoją i zaczął gładzić palcem kostki. - Wyglądasz rewelacyjnie, Janey.

Spojrzała mu w oczy i to, co tam zobaczyła, sprawiło, że serce zabiło jej żywiej. - Riley... - Urwała i przełknęła z trudem. - Nie wiem, co spodziewasz się ode mnie usłyszeć, ale chyba nie sądzisz, że możesz ot tak sobie wejść tutaj i zacząć wszystko od miejsca, w którym przerwaliśmy?

- Czyli wojna?

- Nie! - zaprzeczyła gorąco; wysuwając rękę spod jego dłoni. - Do tego nie wolno nam wracać. Musimy iść do przodu. A czy zrobimy to wspólnie, czy każde osobno, zależy tylko od nas... i od tego, jak bardzo nam zależy na ratowaniu małżeństwa.

- A więc tak to widzisz? - Odchylił się na oparcie krzesła i zaczął bawić machinalnie łyżeczką tkwiącą w cukiernicy. Serce rozsadzał mu ból. Chyba na głowę upadł, jeśli sądził, że wystarczy jedno krótkie spotkanie, a wszystko rozejdzie się po kościach. - Ale chciałbym cię prosić o jedno, Jane. Jeśli uznasz, że nic z tego nie wyjdzie, od razu mi to powiedz. Dobrze?

Odwróciła wzrok przerażona intensywnością swych uczuć.

- Niech cię diabli, Riley...

- Spójrz na mnie, Jane. Proszę. Posłuchała z ociąganiem.

- Nigdy nikogo nie kochałem tak jak ciebie - powiedział cicho.

- To tylko słowa, Riley. Opuściłeś mnie!

- Nie! - Wycelował w nią palec. - Jest tu pewna subtelna różnica, doktor Rossiter. - To nie ja ciebie opuściłem, to ty nie chciałaś ze mną jechać!

Dobry Boże, wrócili dokładnie do punktu, w którym przed rokiem się rozstawali. Dostyc miała tej rozmowy.

- Posłuchaj, Riley... - Ścisnęła oburącz kubek i splotła na nim palce. - Nie rozwiążemy tego, co między nami narosło, ani przez jeden dzień, ani przez tydzień, ani nawet przez miesiąc. Na początek musimy dojść jakoś do ładu z faktem, że znowu razem pracujemy. Zacisnęła usta.

- Wiem.

- I jak to sobie wyobrażasz? Powiemy w przychodni, że jesteśmy małżeństwem, ale... żyjemy w separacji?

- Co za okropne określenie!

- To co proponujesz? Wzruszył ramionami.

- Mów im, co chcesz.

- Dzięki za mądrą radę! - Jane wstała i zaczęła sprzątać ze stołu.

Napełniła zlew wodą, dodała parę kropel detergentu i zabrała się do zmywania. Każde naczynie po opłukaniu odstawiała z hałasem na suszarkę.

- Janey...

Poczuła jego dłoń na talii. Głos miał nabrzmiały emocjami.

- Skoro nie potrafisz powiedzieć niczego konstruktywnego, to lepiej nic nie mów - powiedziała.

- Jak sobie życzysz. Wolałbym, żeby nasz związek pozostał naszą prywatną sprawą, dopóki oboje nie zadecydujemy inaczej.

Kiwnęła głową, oddarła kawałek papierowego ręcznika i wytarła ręce. On może jeszcze tego nie wie, ale w takiej malej miejscowości jak Mt Pryde nic się długo nie ukryje. Ale niech tam.

- Zgoda. Masz w mieszkaniu wszystko, czego ci trzeba?

- Wszystko prócz ciebie.

Odwróciła się i znalazła w jego ramionach. Uśmiechał się przekornie.

- I tak na razie pozostanie.

- Cała ty. - Wziął ją za ręce i przyłożył je sobie do piersi. Gdy zadrżała, uniósł jej dłonie do ust i pocałował z namaszczeniem każdą z osobna. - Widzisz dla nas jakąś szansę, Jane? - spytał cicho.

Zamrugła, oszołomiona przyływem pożądania, jakie ją ogarnęło. Może taka szansa istnieje, ale długa droga przed nimi. Czy nie dadzą za wygraną, zanim dotrą do jej końca?

Cofnęła ręce i oparła się o kuchenne szafki.

- Może obwieźć cię po okolicy? - zaproponowała, z trudem dochodząc do siebie. - Pokazałabym ci rejon naszej przychodni. Pięknie tu.

Riley cofnął się i spojrzał w jej srebrnoszare oczy, tak jasne, że niemal przeźrocyste. Prawdziwe okna duszy.

- Zaryzykuję - rzekł z uśmiechem. - Ale nie twoim metro. Niewiele bym zobaczył, siedząc z kolanami pod brodą. Wygodniej nam będzie w moim land - roverze.

- Pozbyłeś się jaguara? - zdziwiła się Jane.

- Nowa praca, nowe auto. - Wzruszył ramionami i spojrzał na zegarek. - Powiedzmy, że podjadę po ciebie za godzinę. Tyle powinno mi starczyć na rozpakowanie.

Jane ściągnęła lekko brwi. Niewiele ze sobą przywiózł, skoro na rozpakowanie starczy mu godzina. Nie wiedzieć czemu zatliło się w niej poczucie winy.

- Gdybyś czegoś potrzebował... - Zatoczyła łuk ręką. - Ja zabrałam ze sobą wszystko. Tak więc, gdyby coś, to się nie krępuj...

- Mieszkanie jest nieźle wyposażone. - Wzruszył obojętnie ramionami. - Ostatnio niewiele mi do szczęścia

potrzeba, coś na grzbiet, laptop i to wszystko. - Przetarł dłonią oczy.

- Trochę rzeczy zostawiłem u rodziców. Jeśli będę czegoś potrzebował, wyskoczę do Brisbane.

- Wdziałeś się z rodzicami?

- Oczywiście. - Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Bo pomyślałam sobie... Od jak dawna jesteś w Australii?

- Od dwóch tygodni.

I dopiero teraz zjawia się u niej? A więc tak bardzo mu się nie spieszyło.

- Nie wiesz czasem, czy w moim mieszkaniu jest pościel?

- spytał Riley, zmieniając temat.

- Jest, ale niewiele. Zaczekaj, dam ci trochę.

Riley, pozerając żonę wyglodniałym wzrokiem, wszedł za nią za drewniane przepierzenie oddzielające kuchnię od jadalni. Na półce stały oprawione w ramki fotografie. Kilka widział po raz pierwszy, ale jedną dobrze pamiętał - pochodziła z ich ślubu.

Jane miała na sobie prostą białą sukienkę bez welonu. Zastępowały go wpięte we włosy kwiatki. W rękę trzymała piękną różę na długiej łodydze. Nie życzyli sobie wystawnej ceremonii. Ich ślub miał być uroczystością kameralną i niepowtarzalną. Jane nie chciała nawet konwencjonalnego Ślubnego pierścionka. Zamiast niego wybrała szeroką, misternie grawerowaną złotą obrączkę, którą nosiła na środkowym palcu.

On wystąpił w sportowej, rozpiętej pod szyją koszuli i szarej kamizelce. Brali ślub w przydomowym ogrodzie jego rodziców. Coś ścisnęło go za gardło. Jacy szczęśliwi wtedy byli... Usłyszał za sobą kroki i czym prędzej odstawił fotografię na miejsce.

- Masz tutaj. - Jane podała mu naręczce pościeli. - A co z posiłkami?

Uniósł brwi.

- Sam będę je sobie przyrządzał. Roześmiała się.

- Przecież nie umiesz gotować, Riley. Nigdy tego nie robiłeś.

Uśmiechnął się skromnie.

- Nauczyłem się. Okoliczności mnie zmusiły. Tam gotowaliśmy na zmianę. Jedna z pielęgniarek była tak dobra i wprowadziła mnie w podstawy sztuki kulinarnej. Teraz całkiem nieźle sobie radzę w kuchni.

- Rozumiem. - Czyżby chciał przez to powiedzieć, że pod innymi względami też się zmienił?

- No to ja za godzinę wracam. - Ruszył do drzwi.

- Riley? - Odetchnęła głęboko i kiedy się odwrócił, spojrzała my w oczy. Serce waliło jej jak młotem. - Czy ja też mogę cię prosić o to samo?

Potrząsnął lekko głową i uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Chcesz, żebym cię nauczył gotować?

- Nie. - Zagryzła nerwowo wargi. - Czy ty też mi powiesz, jeśli uznasz, że nic z tego nie wyjdzie?

ROZDZIAŁ TRZECI

Jane mdliło ze zdenerwowania, a może z podniecenia? Nie bądź śmieszna, powiedziała do swego odbicia w lustrze, owijając się puszystym ręcznikiem kąpielowym. Odświeżona po prysznicu, zastanawiała się, co włożyć na wycieczkę z Rileyem. Korzystając z kilkudniowego urlopu, kupiła sobie trochę nowych ciuzzków. W końcu rzuciła na łóżko biały sweterek i przewiewne spodnie koloru cytryny.

Wyszczotkowała do połysku włosy, pociągnęła wargi szminką, nałożyła cień do powiek i przejrzawszy się w lustrze, doszła do wniosku, że jest gotowa.

Jej szare oczy zaszyły na moment mgłą. Gotowa na co?

Zobaczyła przez okno nadjeżdżającego Rileya i wyszła przed dom.

- Trudno cię w tym przeoczyć - zażartowała, wsiadając do jaskrawożółtego samochodu.

Wzruszył ramionami.

- Do twarzy mi w tym kolorze. A zresztą pomyślałem sobie, że kiedy będę jechał do wezwania na jakąś odludną farmę, pacjenci z daleka mnie zauważą.

- Masz to jak w banku.

- Miałaś świetny pomysł z tą przejażdżką. - Riley posłał jej porozumiewawczy uśmiech. - Jak za starych dobrych czasów, co?

Jechali w milczeniu przez drzemiące we wrześnieym słońcu okolice. Jane, pogrążona w myślach, obracała obrączkę na serdecznym palcu. Dawniej w każdy weekend robili takie wypadki z Brisbane do Sunshine Coast, odwiedzali pchle targi, małe galerie i przytulne kawiarenki w Montville i Maleney.

Nową falą powróciły wspomnienia. Jak mogli to zniszczyć? Gniewnym mchem uniosła rękę i odgarnęła z kołnierza końce włosów.

- No i jak ci się podobało w Afryce? - zapytała cierpkim tonem.

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

Brał właśnie ostry zakręt i nie oderwał oczu od drogi.

- Pewnie, że chcę. Dla niej mnie zostawiłeś.

- Trzeba było ze mną jechać.

Jane przymknęła oczy i westchnęła. Jeśli nie zdobędą się na porzucenie tej starej kości niezgody, to nie ma dla nich nadziei.

~ Dałbyś już spokój, Riley.

Ich spojrzenia spotkały się na chwilę i w oczach Riley'a coś zaiskrzyło.

- Spróbuję.

Wzdłuż drogi ciągnęły się akacjowe żywopłoty okryte gęstwiną liści o jasnozielonych czubkach. Jaskrawożółte kulki kwiatów miały się na nich pojawić dopiero w zimie.

- Od strony zawodowej praca z Lekarzami bez Granic była dla mnie największym jak dotąd wyzwaniem - zaczął Riley. - Najpierw trafiłem do Nigerii, do międzynarodowego zespołu walczącego z epidemią cholery. Ale to już wiesz, pisałem stamtąd do ciebie. Przepraszam - dodał szybko - jeśli zabrzmiało to jak wyrzut.

Jane westchnęła i zostawiła to bez komentarza.

- Czy w Lekarzach pracuje dużo Australijczyków?

- Z tej części świata chyba około czterdziestki, wliczając w to Nowozelandczyków. To przerażające, jak niewiele możemy pomóc. Tyle tam jeszcze nędzy i cierpienia. A tak mało ludzi i środków.

- W każdym kraju są biedni i doświadczeni przez los, Riley. Wystarczy dobrze się rozejrzeć.

- Ale nie na taką skalę.

- Fakt, chyba masz rację. Gdzie jeszcze byłeś?

- Tu i ówdzie. Na koniec wylądowałem na Timorze Wschodnim. - Zamilkł na dłuższą chwilę, a potem dodał: - Co tu dużo opowiadać.

- Byłeś tak blisko domu - zachnęła się - i nie odezwałeś się do mnie?!

- A przyjechałabyś, gdybym się odezwał?

- Nie wiem. Może... - Odwróciła czym prędzej wzrok, ale zdążył dostrzec malujący się w jej oczach ból.

- Jedziemy w jakieś konkretne miejsce? - spytał Riley, zerkając na Jane z ukosa.

Wyrwana z zadumy zamrugła. Milczeli od jakiegoś czasu, urzeczeni przepiękną scenerią za oknami samochodu. Szosa to wspinała się na łagodne wzgórza, to nurkowała w zielono - brązowe jary.

- Jeśli na szczycie tego wzgórza skrećimy w lewo, to dojedziemy do głównej drogi. Parę kilometrów od skrzyżowania jest mały pub.

- Dobra myśl... Oż ty w życiu! - Riley skreślił gwałtownie kierownicą i zjechał na pobocze, by ominąć zabłąkaną krowę, która niespodziewanie wyszła z zarośli na drogę. I wtedy, pośrodku rozciągającego się poniżej pastwiska, zobaczyli mały, czerwony samochód dostawczy rozbity o pień wielkiego eukaliptusa.

- Boże! - Jane poderwała rękę do szyi. - To półciążarówka Leanne Cawley!

- Twoja znajoma? - Riley zahamował.

- Jest także moją pacjentką. Prowadzi sklep ogrodniczy w miasteczku. - Jane zacisnęła usta. Ogarnęły ją złe przeczucia. - Ma trzyletniego synka Jamesa. Wszędzie go ze sobą zabiera. Wzięłaś torbę lekarską? O, przepraszam. - Jane skrzywiła się pod pełnym politowania spojrzeniem Rileya. - Głupie pytanie.

Wyskoczyli z land - rovera.

- Czego ona tu szukała? - Riley rozchylił krawędzie przerwanego ogrodzenia z siatki i Jane przecisnęła się przez szparę. - Ma gdzieś w pobliżu farmę, czy jak?

- Wynajmuje dom. - Zaczęli schodzić do rozbitego samochodu stromą, wydeptaną przez bydło ścieżką. - Ale ma pozwolenie na zbieranie po okolicznych pastwiskach kamieni, które sprzedaje potem w sklepie.

- Skoro zbierała kamienie, to mogła przeciążyć nimi samochód - stwierdził Riley. - Stromo tutaj. Może na zjeździe ze wzgórza nawaliły jej hamulce i straciła panowanie nad kierownicą.

A może Leannie wcale nie zbierała kamieni. Może przed czymś uciekała... Jane odpędziła tę niepokojącą myśl i osłoniła dłonią oczy przed stojącym w zenicie słońcem.

- Riley, wezwij karetkę! - Odróżniała już sylwetkę kierowcy leżącego bezwładnie na kierownicy. - Niech przyjadą na farmę Bennetta, północne pastwisko. I niech zabiorą nożyce do cięcia drutu, bo nie przedostaną się przez ogrodzenie.

Riley wyciągnął z kieszeni przenośny telefon, wybrał numer pogotowia i rozmawiał chwilę z dyspozytorką.

- Szczęście w nieszczęściu - powiedział, wyłączając telefon i chowając go z powrotem do kieszeni. - Mają ostry dyżur. Widzisz gdzieś dziecko? - Przyśpieszył kroku.

- Nie...

- Może zostało z ojcem?

- Miejmy nadzieję, że nie. - Niepokój Jane przeszedł w strach. - Wolno mu kontaktować się z dzieckiem tylko w obecności osób trzecich. Żyją w separacji - dodała, kiedy Riley spojrzał na nią pytająco.

- Nieciekawa sytuacja.

- Delikatnie mówiąc...

Zasapana już trochę Jane przebyła ostatnie metry stromizny, obejmując Rileya w pasie. Solidna kratownica z przodu uchroniła szoferkę przed poważniejszym uszkodzeniem, ale sam impet uderzenia w drzewo najwyraźniej wystarczył, by pozbawić kierowcę przytomności.

Na szczęście Leanne z jakiegoś powodu nie zablokowała drzwi. Jane z ulgą otworzyła te od strony pasażera i wcisnęła się do kabiny.

- Leanne, słyszysz mnie? To ja, doktor Rossiter... Jane. Już dobrze. Pomoc jest w drodze.

Leanne Cawley jęknęła.

- Chyba ma złamany nos. - Riley otworzył torbę lekarską i zaczął badać raną z drugiej strony. - Musiała porządnie rąbnąć twarzą o kierownicę.

Jane poczuła ucisk w dołku. Nie jest jeszcze powiedziane, że to obrażenia odniesione wskutek kraksy, pomyślała ponuro. Odgarnęła Leanne z twarzy grzywę kasztanowych włosów.

- I jak, Riley?

- Ciśnienie sto dziesięć na sześćdziesiąt, puls sto. - Przygryzł wargę. - To by znaczyło, że nie ma krwotoku wewnętrznego. - Ściągając brwi, przyłożył do piersi Leanne stetoskop. - Nieźle - orzekł. - Ale jest w szoku.

Jane podniosła na niego wzrok.

- Masz ze sobą płyn infuzyjny?

- Mhm. Ale za mało tu miejsca. Od twojej strony łatwiej chyba będzie podłączyć kroplówkę.

Zaczęli współpracować zgodnie, jak za dawnych czasów. Rozumieli się bez słów.

- Kroplówka podłączona - zameldowała po chwili Jane. - I słyszę już karetkę.

Obejrzeni się. Sanitariusz przecinał właśnie nożycami drucianą siatkę. Wkrótce ambulans, kołysząc się na

wykrotach, zjeżdżał ostrożnie po pochyłości do miejsca wypadku. Jane dokonała szybkiej prezentacji:

- To Chloe Dean i Bruce Tylor, a to Riley Brennan. Riley jest naszym nowym lekarzem.

Riley skinął na powitanie głową i zaczął zdawać im relację ze stanu Leanne.

- Nie wiemy, jak długo jest nieprzytomna, a sądząc po stanie kratownicy, musiała z niewąską siłą przygrzać w to drzewo. Proponuję założyć, że odniosła uraz kręgosłupa.

- Dobrze, doktorze. - Bruce, zawracając do karetki, by zmontować specjalne nosze, rzucił okiem na skrzynię półciężarówki. - Oho, widzę, że zebrała spory ładunek kamieni.

To by wyjaśniało jej obecność w tej stromej części farmy, pomyślała Jane i trochę się uspokoiła.

- Chloe - zawołała do sanitariuszki - potrzebny nam też będzie kołnierz usztywniający.

- Daje jakieś oznaki powrotu do przytomności? - spytał Riley z drugiej strony półciężarówki.

- Odzyskuje ją i traci. - Jane zaczęła znowu przemawiać do rannej kojącym, pokrzepiającym tonem. Spraw, Boże, żeby Leanne szybko się ocknęła, modliła się w duchu, przygryzając wargi. Muszą się dowiedzieć, pod czyją opieką zostawiła synka.

Wprawne ręce szybko przeniosły Leanne na nosze.

- Jest bardzo blada - zauważył Riley, pomagając sanitariuszom wsunąć nosze do karetki.

- Cereę ma jasną z natury... - Jane urwała. - Podejrzewasz jednak krwotok?

Riley potarł palcami czoło.

- Raczej nie. Brzuch ma miękki, co by wykluczało uszkodzenie śledziony. Ale...

- Na wszelki wypadek zachowajmy zdwojoną ostrożność
- wpadła mu w słowo Jane. - Podłączmy ją do analizatora pracy serca i niech Chloe obserwuje wykres przez całą drogę do szpitala.

- Nie pojedziesz z nią? Jane pokręciła głową.

- Zrobiliśmy już, co było można, a Chloe i Bruce znajdują się na rzeczy. Zresztą stąd do miasteczka jest tylko piętnaście minut drogi.

- Tak blisko? - zdziwił się. Pochylił się i zaczął pakować instrumenty do torby lekarskiej. - Od razu widać, że jeszcze kiepsko się orientuje w tutejszej topografii.

- Ktoś taki jak ty na pewno szybko się w niej połapie. Stali obok siebie i odprowadzali wzrokiem karetkę, która wspięła się już po stoku, przecisnęła przez wyciętą w ogrodzeniu dziurę i oddalała teraz ku głównej drodze.

- Miejmy nadzieję - westchnął Riley. Jane ściągnęła brwi i spojrzała mu w oczy.

- Chyba nie masz wątpliwości, że chcesz tu zostać na dłużej?

- Nie... oczywiście, że nie. - Riley potarł dłonią kark. - Dobrze było znowu razem popracować, prawda, Janey?

Dobrze? Serce jej załomotało. Było cudownie!

- Tak, prawda - mruknęła, spuszczać głowę. Oczy męża były zbyt dociekliwe, za wiele widziały. Deprymowało ją to.

Riley również trochę się zmieszał, po czym odwrócił się i zatrzasnął torbę.

- No, doktor Rossiter. Jesteś ekspertem medycyny wiejskiej. Zlituj się nad żółtodziobem i powiedz, co robimy dalej?

- Nie zgrywaj się - odburknęła gniewnie i zaraz tego pożałowała. Dobry nastrój prysł jak mydlana bańka.

Riley wyprostował się powoli. Przymrużył oczy, postąpił krok i wziął ją za ramiona

- Jak mamy cokolwiek rozwiązać, skoro ty jesteś taka cholernie drażliwa?

- Nie mogę znieść tych emocjonalnych zapasów - wyrzuciła z siebie.

- To pozwól, że... - Pochylił niespodziewanie głowę i pocałował ją zachłannie, wpijając się z pomrukiem samczej satysfakcji w jej usta.

Jane zamknęła oczy i zaraz je otworzyła. Cofnęła gwałtownie głowę i zakrywając sobie obiema dłońmi usta, pokręciła głową. Mieszanina dezorientacji i gniewu rozsadzała jej pierś.

- Tylko bez takich sztuczek, Riley!

- To nie była żadna sztuczka - odparował, pochmurniejac.

- Nie rób z igły wideł. Nie była pewna, czy miał na myśli ten pocałunek. Zaciśnęła pięści.

- Czasami doprowadzasz mnie do szewskiej pasji! Uniósł brwi.

- Tylko czasami? Ale wtedy przynajmniej wiesz, że żyjesz - dodał przymilnie. - Mam rację...? W milczeniu wspięli się z powrotem do zostawionego na poboczu drogi land - rovera. Kiedy wsiedli, Riley zwrócił się do niej pojednawczym tonem:

- Chciałabyś pewnie przeprowadzić małe śledztwo w sprawie tego wypadku?

Kiwnęła głową. Tylko od czego zacząć?

- Myślę, że najlepiej będzie pojechać do jej domu. Może czegoś się dowiemy.

- Dobra myśl. - Riley zapuścił silnik i zawrócił. - A jeśli nikogo nie zastaniemy, to co? Na policję?

- Jeszcze nie. Wpadnę do przychodni i zajrzę do karty zdrowia Leanne. Zostawiła mi jakieś kontaktowe numery telefonów na wypadek... gdyby coś się stało.

- A co z tym jej mężem? - spytał Riley. Objechali małe wzgórze i zaczęli się wspinać pod następne. - Biję ją?

- Tylko raz to zrobił. - Jane przeczesła palcami włosy. — Stracił panowanie i skatował ją. Przyszła do mnie cała posiniaczona.

Riley odchrząknął z oburzeniem.

- Przyjemniaczek, nie ma co. Powiedziałaś jej, że powinna złożyć doniesienie?

- Nie musiałam. Sama to zrobiła. Simonowi - jej mężowi

- zakazano zbliżać się do niej i do dziecka.

Riley parsknął pogardliwie.

- Takie zakazy nie są zazwyczaj warte nawet papieru, na którym się je spisuje.

- Ten spełnił swoją rolę. Simon trzyma się od nich z dala, a ponieważ jest nieobliczalny, z Jamesem może się widywać tylko w obecności Leanne. Wiem od niej, że spotykają się przeważnie pod McDonalodem i idą do parku, albo gdzieś. Podobno Simon nie był takim złym ojcem.

- Wyżywa się tylko na żonie. - Riley zacisnął usta. - Myślą o rozwodzie?

Jane wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Leanne powiedziała mi, że Simon chodzi do jakiejś poradni zdrowia psychicznego. Może jeszcze się zejść. O, tam po prawej jest wjazd na farmę.

Duży land - rover z napędem na cztery koła przetoczył się z łomotem przez bydłą kratownicę i zatrzymał przed domem z zielonym dachem.

- Poczekaj na mnie w samochodzie - powiedział Riley, kładąc dłoń na ramieniu Jane. - Zobaczę, czy ktoś jest.

- Nie. - Odtrąciła jego rękę i odpięła pas bezpieczeństwa.

- Idę z tobą.

Nie oponował.

Na ich pukanie do drzwi nikt nie odpowiedział. Obeszli dom od tyłu. Mały czarno - biały kotek zeskoczył na ich widok ze stojącego na werandzie starego wiklinowego fotela i wygiął się w pałąk.

- O, jakiś ty odważny. - Riley wziął kotka na ręce i pogłaskał. Zwierzak zamruczał z zadowolenia.

Jane, ocieniając dłonią oczy, zajrzała przez zamknięte okno do kuchni, ale nikogo tam nie zobaczyła.

Odwróciła się i zeszła po schodkach z werandy. Chociaż dzień był słoneczny i ciepły, przeszedł ją zimny dreszcz. Podwórko ocieniał ogromny dąb, promienie słońca, którym udało się przedrzeć przez jego koronę, padały na krętą ścieżkę prowadzącą w głąb ogrodu. Drgnęła, kiedy na jej ramieniu spoczęła dłoń Riley'a.

- Spokojnie - powiedział z uśmiechem. - Tu nie ma żadnych zakopanych trupów.

- Nie mów tak nawet w żartach, Riley - fuknęła. Spoważniał.

- Naprawdę podejrzewasz, że wydarzyło się tu coś... hm... złego?

- To chyba koszmar prześladowający każdego lekarza, który zetknął się na gruncie zawodowym z przypadkiem maltretowania w rodzinie.

- I w większości są to obawy nieuzasadnione - stwierdził Riley, zawracając do samochodu. - Nie sądzisz, że należałoby powiadomić właścicieli farmy, że mają dziurę w ogrodzeniu? Krowy mogą się przez nią wydostać na drogę.

- Dobrze, że mi przypomniałeś. - Jane odetchnęła głęboko. Reperkusje wypadku Leanne sięgały coraz dalej. - Bennettowie mieszkają w miasteczku. Są już starzy. Przez telefon trudno im będzie wyjaśnić, co się stało. Wolę porozmawiać z nimi osobiście.

Wsiedli do samochodu i Riley wrzucił bieg.

- To może ja to załatwię, a ty wpadnij do przychodni.

- Byłbyś tak dobry? - Jane kamień spadł z serca. I zaraz ogarnęło ją poczucie winy. - Nie przewidywałam, że nasza wycieczka tak się zakończy... - Przygryzła wargi. - Zaraz, ale ty zaczynasz pracę dopiero w poniedziałek.

- Co z tego? - Uśmiechnął się przelotnie. - I tak nie mam nic lepszego do roboty. Zamiast zbijać bąki, chętnie spędzę ten czas z tobą.

Jane spojrzała na niego badawczo. Czy mówi poważnie?

Okazało się, że małego Jamesa Leanne zostawiła na weekend u matki. Jeden problem rozwiązany, pomyślała Jane, odkładając słuchawkę na widełki.

Następnie zadzwoniła do szpitala. Leanne odzyskała w końcu przytomność, ale zatrzymywano ją do rana na obserwacji. Całe szczęście, zaraz do niej wpadnie. Zostało jeszcze kilka spraw do załatwienia - na początek samochód Leanne. Może trzeba ją będzie skontaktować z zawodowym mechanikiem. Ten tok myśli przerwało jej pukanie do drzwi gabinetu.

To był Riley.

- Mogę wejść?

- Proszę. - Odwróciła wzrok, serce zabiło mocniej. Gdzie te czasy, kiedy odwiedzając się w swoich gabinetach, nie musieli pytać o zgodę? - Szybko się uwinąłeś - powiedziała.

- To nie było trudne zadanie - odparł z ironicznym uśmiechem, przysiadając na brzegu biurka. - Pan Bennett wysłał już kogoś do naprawy ogrodzenia. Bardzo się przejęli wypadkiem Leanne. Odniosłem wrażenie, że cenią ją sobie jako lokatorkę.

- Ja jestem tego pewna. Riley uniósł pytająco brwi.

- Co z nią? Dzwoniłaś do szpitala? Jane kiwnęła głową.

- Jej stan już się ustabilizował. Miałam właśnie do niej iść.

- Podrzucę cię - oznajmił i zsunął się z biurka.
- Riley, naprawdę nie musisz... - wybąkała.
- Ale chcę. A potem zabieram cię na lunch.

Jane wstała. Protesty nie miały sensu. Wiedziała z doświadczenia, że odwodzenie męża od czegoś, co raz sobie postanowił, jest z góry skazane na niepowodzenie. Szkoda tylko czasu i atłasu.

- Jak się czujesz? - Jane patrzyła na Leanne, stojąc w nogach łóżka.

Leanne Cawley rozłożyła ręce.

- Jestem trochę poobijana...
- Dopilnuję, żeby dali ci środek przeciwbólowy. - Jane zerknęła na kartę chorobową. - A jeśli nie pomoże, to zastrzyk.

- Słyszałam, że to ty i ten nowy lekarz mnie znaleźliście.

- Leanne opadła z powrotem na poduszkę. - Pewnie okropnie wyglądam.

- Widziałam twoje zdjęcia rentgenowskie. - Jane przysunęła sobie do łóżka krzeselko i usiadła. - Masz złamany nos, ale powinien się dobrze zrosnąć. Sprawdzę to za dwa tygodnie. Wtedy się okaże, czy nie trzeba cię skierować do specjalisty. Ale wygląda mi na to, że obejdzie się bez operacji plastycznej.

- Jane uśmiechnęła się. - Rozmawiałam z twoją mamą. James czuje się dobrze. Mama odda samochód do warsztatu.

Leanne wyraźnie się ożywiła.

- Wiem. Mama już dzwoniła i zostawiła wiadomość. Poproszę później, żeby mi przynieśli telefon i porozmawiam z Jamesem...

- No dobrze. - Jane obrzuciła swą pacjentkę pytającym spojrzeniem. - Co jeszcze mogę dla ciebie zrobić?

- Co się stało, to się nie odstanie, prawda? Gdybym tak mogła cofnąć czas...

- Jak do tego doszło? - Jane nachyliła się do Leanne. Leanne spazmatycznie wciągnęła powietrze w płuca.

- Hamulce nawały. Naciskałam pedał i nic. Byłam na samym szczycie wzgórza ze skrzynią wyładowaną kamieniami, a wóz przestał mnie słuchać. - Urwała i zacisnęła mocno usta. - Przestraszyłam się, że skończy się dachowaniem i skierowałam go na drzewo. - Przełknęła z trudem. - Pomyślałam sobie, że tak będzie lepiej, bo kratownica zamortyzuje trochę wstrząs i przynajmniej wyjdę z tego żywa...

Jane uścisnęła rękę kobiety. Nie powinna sobie pozwalać na zbyt dużą poufałość z pacjentami, ale było to trudne w odniesieniu do przyjaciół.

- A co z kotem, Leanne? Może mam go dokarmiać? Chyba że Simon...

- Simon wyjechał na weekend - powiedziała szybko Leanne, spuszczać wzrok na błękitną kołdrę. - Jest na terapii radzenia sobie ze złością.

A więc Simon Cawley próbuje jednak ujarzmić swój porywczy temperament w nadziei, że uratuje małżeństwo. Jane spojrzała na zmieszaną Leanne.

- To chyba krok w dobrym kierunku, prawda? Leanne wzruszyła tylko ramionami.

- Byliśmy szczęśliwi, dopóki nie stracił pracy. Bardzo go to przybiło. I nie mogło się zdarzyć w gorszym okresie. Ma czterdzieści jeden lat i wszędzie, gdzie pójdzie, mówią mu albo że jest za stary, albo że ma zbyt wąską specjalizację.

Ale to nie powód, by wyładowywał swoje frustracje i niepowodzenia na żonie, pomyślała Jane. Nie powiedziała tego jednak głośno.

Leanne drżały wargi.

- Tak nam zależało, żeby się udało. To dla nas obojga drugie małżeństwo.

- Nie wiedziałam - zdziwiła się Jane. Leanne westchnęła głęboko.

- Gdybyśmy się rozwiedli, poszłoby na marne tych sześć lat, które ze sobą jesteśmy.

Jane pokręciła w milczeniu głową. Nie jej o tym rozstrzygać. Ona i Riley też byli na krawędzi rozwodu. Na tę myśl ścisnęło ją w dołku.

- James wiele dla nas znaczy - ciągnęła cicho Leanne. - Simon nigdy by go nie skrzywdził. Wiem to. Może za mało się staraliśmy.

- Małżeństwo to nie przelewki, Leanne. - Jane wstała. - Jak już powiedziałam, gdybym ci była do czegoś potrzebna, wystarczy jedno słowo.

- Wiem. Dziękuję, Jane. A o kota się nie martw. - Leanne odwróciła twarz do ściany. - Mama będzie go karmić.

Riley odrzucił czasopismo i zerkając na zegarek, wstał. Co ta Jane tak długo tam robi?

Rozmawia z pacjentką, odpowiedział sam sobie, podchodząc do wielkiego okna widokowego. Jane Rossiter nigdy nie żałowała dla pacjentów czasu.

Tak, ale co z ich małżeństwem? Zacisnął usta. Czy da się je jeszcze uratować?

Gdzie on miał głowę, że dopuścił do takiej sytuacji? Byłby głupcem, gdyby nie zauważył, że Jane przyjmuje wobec niego postawę obronną. I jest ostrożna. Westchnął i wepchnął dłonie w tylne kieszenie spodni.

Jak ją z powrotem do siebie przekonać? Będzie chyba musiał ważyć każde słowo przed jego wypowiedzeniem, analizować zawczasu każdy krok. Uzbroić się w cierpliwość i jeszcze przez jakiś czas pokornie znosić kubły zimnej wody wylewane mu na głowę. Zaklął pod nosem i przytknął czoło do szyby. Nigdy jeszcze nie czuł się tak samotny. Musi odzyskać żonę. Jest mu potrzebna do życia jak powietrze.

Dobiegł go aromat przyrządzanego w szpitalnej kuchni posiłku i zaburczało mu w brzuchu. Kiedy spoglądał znowu na zegarek, z sali kobiecej wysunęła się cicho Jane.

Na jego widok zatrzymała się zdziwiona.

- Nie musiałeś na mnie czekać, Riley.

- Powiedziałem, że zaczekam, to czekałem. - Ściągnął brwi. Jane wyglądała na przygnębioną. - Z Leanne wszystko w porządku?

Jane wzruszyła ramionami.

- Fizycznie dojdzie do siebie. Ale co do reszty...

- Poczujesz się lepiej, jeśli coś przekąsisz. Chodźmy, pani doktor. - Przeszli przez izbę przyjęć. - Już wiem, gdzie zjemy lunch.

- W szpitalnej stołówce? - spytała z przekąsem.

- Nie. - Omal nie parsknął śmiechem. - Ale nie strój sobie z niej żartów. Aromaty, które mnie stamtąd dochodziły, były całkiem przyjemne, jak na szpitalne standardy, ma się rozumieć.

- Widocznie kucharz miewa od czasu do czasu swoje dobre dni.

Wyszli ze szpitala.

- No więc dokąd mnie zabierasz? - spytała Jane, wsiadając do land - rovera.

Riley zerknął na nią z ukosa.

- Do Paragona. Znasz tę knajpkę?

- Mhm. Tanio tam i przyjemnie.

- Przejeżdżając, przeczytałem na tabliczce, że to kuchnia domowa. Pomyślałem sobie...

- Nie tłumacz się. Dania są tam niewyszukane, ale przepyszne - powiedziała, poklepując go po udzie.

- No to dobrze - mruknął, wniebowzięty dotykiem jej dłoni. Zdawał sobie sprawę, że był to gest odruchowy, ale na niego podziałał jak najbardziej wyszukana pieśczoćta...

ROZDZIAŁ CZWARTY

Jak w każdą sobotę w centrum miasteczka panował ożywiony ruch. Riley znalazł miejsce do zaparkowania w bocznej uliczce i ruszyli piechotą do Paragona. Była to mała restauracyjka niezbyt wysokiej kategorii. Skrzynki z liliami po obu stronach wejścia stanowiły miły akcent dla prostego skądinąd wystroju.

Kiedy weszli, kelnerka sprzątająca właśnie ze stolika przykrytego granatowym obrusem spojrzała na nich z uśmiechem.

- Chyba mamy szczęście. - Riley objął Jane w talii.

- Stolik dla dwóch osób? - Kelnerka wygładziła obrus i wyprostowała się.

- Tak, poprosimy. - Riley posłał dziewczynie zwycięski uśmiech i podsunął Jane krzesło.

W połowie posiłku spytał:

- Jeszcze wina?

Pokręciła głową. Czyżby zapomniał, że nie przepada za alkoholem i jedna lampka to jej górna granica?

- Smakuje ci jedzenie?

- Wspaniale. Mam wrażenie, że sam potrafiłbym to upichcić.

Zamówili ziemniaki nadziewane bekonem i kukurydzą, polane stopionym serem. Jane musiała przyznać, że są przepyszne i zapewne na tyle łatwe w przyrządzeniu, że nawet amator byłby w stanie osiągnąć jadalny rezultat.

- To daj mi znać, kiedy będziesz się za to zabierał. - Nabrała na widelec sałatkę. - Przyjdę popatrzeć.

Spojrzał na nią poważnie.

- Naprawdę?

- Tak, oczywiście.

- No to umowa stoi. - Z uśmiechem wyciągnął rękę. Dotyk jego dłoni przejął ją dreszczem. I niespodziewanie dla siebie samej zapragnęła czegoś więcej.

Nastał wreszcie poniedziałek.

Od sobotniego lunchu nie widziała się z Rileyem i przez resztę weekendu nie mogła sobie znaleźć miejsca. Kilka razy korciło ją, by go odwiedzić, ale nie zdecydowała się na ten krok. Nie da się ukryć - świadomość, że wrócił, że mieszka niespełna pół mili od jej domu, skutecznie odebrała jej spokój ducha.

Ledwie weszła w poniedziałkowy poranek do przychodni, te emocjonalne rozterki zaczęły ją opuszczać. Riley był już w pracy. Monica Lowe, kierowniczka przychodni, wprowadzała go w obowiązki.

- Dzień dobry, Jane - powitał ją z uśmiechem. Jane skinęła mu głową.

- Witaj, Riley. Dzień dobry, Monico.

- Bardzo dobry - podchwyciła Monica. - Nareszcie personel medyczny mamy znowu w komplecie. Wy, jak słyszałam, znacie się już z poprzedniej pracy - dodała z uśmiechem. - No i co tam u Leanne Cawley?

Jane zamrugła i odchrząknęła.

- Zatrzymali ją w szpitalu na jeszcze jedną noc. Jeśli wszystko będzie dobrze, wypiszą ją dzisiaj do domu.

- Biedactwo. - Monica pokręciła współczująco głową. - Jeszcze tego jej brakowało.

- Właśnie. - Jane ruszyła dalej. - Gdybyś czegoś potrzebował, Riley, to chętnie służę pomocą - rzuciła jeszcze przez ramię.

- Zapamiętam. - Kiwnął głową i skupił się znowu na tym, co mówi do niego kierowniczka.

Idąc korytarzem do pokoju dla personelu, Jane wypuszczała powoli powietrze z płuc. Jak długo uda im się z

Rileyem utrzymywać w tajemnicy fakt, że są małżeństwem? Może powinni jeszcze raz przemyśleć swoją taktykę. Powiedzieć kolegom z pracy całą prawdę. Westchnęła z frustracją.

W pokoju dla personelu zastała rejestratorkę Vicki zajętą parzeniem kawy.

- Dla mnie też robisz? - spytała, siląc się na uśmiech.

- Ależ oczywiście. - Vicki, blondynka z zebranymi w koński ogon włosami, rozstawiała na szafce kubki. - Monica przyniosła szarlotkę.

- Wspaniale. - Jane dołała sobie do kawy mleka. - Zostawcie mi kawałek na później.

- Sympatyczny, prawda?

Nie było wątpliwości, kogo Vicki ma na myśli. Jane, pod pretekstem, że pije kawę, uchyliła się od odpowiedzi. Riley był przystojny i wszędzie zwracał na siebie uwagę, a kobiety przyciągał jak magnes żelazo - ale sympatyczny?

Nagle ogarnął ją przytłaczający smutek. Wcale nie był sympatyczny, kiedy się z nią kłócił.

- Ojej... - zawołała, spoglądając na zegarek. - Muszę lecieć. Dzięki za kawę, Vick.

Dzień zaczął się tak, jak to zwykle w poniedziałek bywało. Ledwie Jane zdążyła odstawić neseser i włączyć komputer, do gabinetu zapukała pielęgniarka, Trish Newland.

- Mogłabyś wpaść dzisiaj po pracy do schroniska dla kobiet, Jane?

- Przybyła jakaś nowa? Trish pokręciła głową.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Podejrzewam, że Marianne chce tylko z tobą pogawędzić. Ale wspominała, że tych dwoje małżeństw źle się czuje.

- Dobrze, zajrzę tam. Dzięki, Trish.

Zaraz po przyjeździe do Mt Pryde, Jane zaprzyjaźniła się z Marianne Ross. Marianne prowadziła schronisko dla kobiet,

które z takiego czy innego powodu musiały uciekać z domu. Najwyraźniej miała do niej jakąś sprawę, bo inaczej nie prosiłaby o wizytę...

- Łap się za torbę! - Drzwi otworzyły się gwałtownie i do gabinetu wsunął głowę Riley. - Wzywają nas do podstawówki!

- Co się stało? - Jane, zapominając o Marianne i jej schronisku, zerwała się z biurka.

- Jakiś siedmiolatek spadł z drzewa i nadział się na metalowy pręt ogrodzenia

- Karetka? - Jane chwyciła już torbę lekarską.

- Obie pojechały do wezwań. Przyślą jak najszybciej tę, która pierwsza będzie wolna. Rozmawiałem ze szpitalem. Nie mogą nikogo wystać. Skończyli już ostry dyżur. Ralph i Angelo są na wizytach domowych. Wychodzi na to, że zostaliśmy tylko my, Janey.

Nie pierwszy i nie ostatni raz. Jane, biegnąc korytarzem do rejestracji, zbierała myśli. Trish zgromadziła już w pośpiechu wszystko, co mogło im być potrzebne.

- Środki znieczulające, zestaw do kroplówki, tlen...

- Dzięki, Trish, wspaniale się spisałaś. - Riley zarzucił torbę pierwszej pomocy na ramię.

- Pędźcie już! - Pielęgniarka popchnęła ich w stronę drzwi. - My tu przeniesiemy waszych pacjentów do innych lekarzy.

- Bierzemy mój wóz - rzucił Riley, kiedy biegli przez parking. - Mam z tyłu sprzęt wspinaczkowy. Z tego, co mówili mi ci ze szpitala, wynika, że może się przydać.

- Którą częścią ciała nadział się chłopiec? - Jane robiło się słabo na samą myśl, jak to dziecko musi teraz cierpieć.

- Podobno ramieniem. - Riley otworzył jej drzwi od strony pasażera, a sam okrążył wóz i wsiadł za kierownicę. Zapięli pasy. - Głupota ludzka nie zna granic - wywarczał z

gniewem. - Nie do wiary, że wciąż otaczają szkoły tymi śmiertelnie groźnymi ogrodzeniami z metalowych szpikulców.

- Zapaścił silnik i ruszył z piskiem opon.

- Znasz drogę? - spytała Jane.

- Prowadź mnie.

Do szkoły mieli zaledwie pół kilometra, ale zanim tam dojechali, Jane zdążyła już ochłonąć i wziąć się w garść.

Gdyby miała się kiedyś specjalizować, to z pewnością nie wybrałaby pediatrii. Czuła instynktownie, że obcowanie na co dzień z chorymi, cierpiącymi dziećmi byłoby ponad jej siły.

W bramie szkoły czekał na nich dyrektor, John Abbottsford.

- Dziękuję, że tak szybko przyjechaliście - powiedział i wyjaśnił, że siedmioletni Max Davis spadł z wielkiego figowca rosnącego na skraju szkolnego dziedzińca. - A powtarzam im przy każdej okazji, że na drzewa nie wolno się wspinać - zakończył.

- Rodzice zostali już powiadomieni? - zapytała Jane. John Abbottsford kiwnął głową.

- Chłopiec ma tylko ojca. Jest monterem w Teteconie i wyjechał do awarii na linii telefonicznej. W bazie obiecali, że przekażą wiadomość, ale powrót zajmie mu ze czterdzieści minut. Poradziłem, żeby przyjechał prosto do szpitala.

- A gdzie reszta uczniów? - zapytał Riley.

- Są w klasach.

- Chcielibyśmy podjechać jak najbliżej miejsca wypadku.

- Riley podrapał się po brodzie. - Mamy tu trochę sprzętu. Straż pożarna i służby ratownicze zawiadomione?

- Będą tu, jak tylko zbiorą ludzi. - Dyrektor przejechał odruchowo dłonią po ostrzyżonej na jeża głowie. - To małe miasteczko i mamy tu tylko ochotników. Ale w gronie nauczycielskim jest młody człowiek, który uprawia wspinaczkę. Może na razie on coś pomoże.

Wystarczył jeden rzut oka na miejsce zdarzenia, by dwójka lekarzy zrozumiała, że uwolnienie małego Maxa nie będzie sprawą prostą.

- Będzie tracił przytomność z bólu - mruknął posepnie Riley. Chłopiec był śmiertelnie blady i szlochał spazmatycznie.

- Da się coś zrobić, panie doktorze? - Szkolny woźny patrzył błagalnie na Rileya. Stał na drabinie przystawionej do ogrodzenia i podtrzymywał nieszczęsnego malca. - Ręce mi mdleją...

- Jeszcze chwileczkę. - Riley odwrócił się, żeby naradzić się z Jane.

- Dopóki nie ściągnie się go z tego pręta, nic nie zrobimy, Riley - powiedziała Jane, kręcąc głową.

- Masz rację - przyznał. - Ale trzeba mu chociaż podać środek znieczulający. Idę po mój sprzęt.

- Co zamierzasz? - spytała z niepokojem Jane.

- Przypnę się do któregoś z tych grubych konarów - Riley patrzył na wielki figowiec - potem opuszczę się na linie pod chłopca i wezmę go na kolana. Dzięki temu obie ręce będą miały wolne.

- Rozumiem. - Jane przełknęła z trudem. Nie bardzo sobie wyobrażała, jak to będzie wyglądało w praktyce. - Szybciej, na miłość boską! - dorzuciła szybko, bo w tym momencie Max jęknął rozdzierająco.

Od strony budynku szkoły nadbiegł młody mężczyzna.

- Terry McNamara - przedstawił się. - John powiedział, że mogę się wam na coś przydać. - Podeszedł do Rileya, który wyjmował już z samochodu swoje liny. - Wejdziemy na drzewo razem i będę pana opuszczał do Maxa - zaproponował. - Zgoda?

Na twarzy Rileya odmalowała się ulga. Zdobył się nawet na uśmiech.

- Dobra myśl. Ale potrzebna nam druga drabina.

- W szopie z narzędziami powinna być jeszcze jedna. -
Młody nauczyciel oddalił się biegiem.

Jane zaczęła się mobilizować przed zadaniem, które ją czekało. Przewiesiła sobie przez ramię torbę ze sprzętem pierwszej pomocy i zaczęła się powoli wspinać na drabinę. Zatrzymała się na trzecim szczeblu od jej końca.

- Co mam robić, pani doktor? - Podtrzymujący chłopca woźny opadał wyraźnie z sił, pot ściekał mu strużkami po twarzy.

- Niech pan jeszcze trochę wytrzyma - poprosiła Jane, siląc się na spokój. - Wspaniale się pan spisuje. Mam na imię Jane - dodała cicho. - A pan?

- Mick.

Miejsca na manewry nie było wiele. Jane wykonywała wszystkie ruchy w zwolnionym tempie. Starła się nie myśleć, że może spaść...

Delikatnie, ostrożnie, zaczęła badać chłopca, przez cały czas przemawiając do niego pocieszająco. Chłopiec skórę miał chłodną i lepłą od potu, co wskazywało na szok. Ale tętno i ciśnienie krwi, choć podwyższone, utrzymywały się w normie. Mogła spokojnie zaaplikować mu środek przeciwbólowy i przeciwwymiotny.

- Zaraz cię zdejmemy - powiedziała, wychylając się z drabiny, by zrobić Maxowi pierwszy zastrzyk. Boże, powinnam występować w cyrku, przemknęło jej przez myśl.

- Za żadne skarby nie zamieniłbym się z panią na posady - wystękał woźny, obserwując z podziwem jej akrobacje. - To, co mu pani wstrzyknęła, chyba podziałało. Jakby trochę zwiotczał.

Jane uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Zaczyna się rozluźniać, Mick. I o to właśnie chodziło. Jak grom z jasnego nieba, z konaru figowca zjechał na linie

Riley.

Jane zerknęła z uśmiechem na Micka.

- Oho, nadciąga kawaleria.

- No nie! A ja myślałem, że to Tarzan.

Przybycie Rileya podniosło Jane na duchu, a opadającemu z sił Mickowi przyniosło ulgę, bo Riley odebrał od niego chłopca.

- Dobrze się spisaliście - powiedział cicho Riley. - Podamy mu teraz tlen.

- Straż pożarna i chłopaki z ratownictwa są już w drodze!
- zawołał z dołu John Abbottsford.

- Miejmy nadzieję, że nie zapomnieli zabrać nożyc hydraulicznych - powiedział Riley.

Strażacy nie zapomnieli o nożycach. Przy ich pomocy szybko uwolnili Maxa z pułapki i siedzący na drzewie Terry opuścił Rileya z chłopcem na ziemię.

Maxem, w którego ramieniu tkwił wciąż odcinek pręta z ogrodzenia, zajęli się sanitariusze z karetki, która zjawiała się wkrótce potem.

- Pojedziesz z nim, Riley? - spytała Jane. Riley pokręcił głową.

- Zrobiliśmy już swoje. Teraz niech się nim zajmie chirurg. Wracali do przychodni w milczeniu.

- Dobrze się czujesz? - zapytał w pewnej chwili Riley. - Pobladaś.

Jane roześmiała się.

- Nie zwykłam zaczynać tak dnia pracy. A poza tym ominęła mnie przerwa na kawę i bułeczkę. - Zawiesiła głos, a potem dorzuciła: - Maxowi chyba nic nie będzie, jak myślisz?

- Wylize się. Ramię będzie mu przez jakiś czas dokuczało, ale dzieci zadziwiająco szybko odzyskują zdrowie. Zajrzemy do niego pod koniec dnia. - Rzucił jej pytające spojrzenie. - A która to właściwie godzina?

- Dopiero po jedenastej.
- Myślisz, że Ralph i Angelo zdążyli już załatwić wszystkich naszych pacjentów?

- Na to bym nie liczyła. Paru z pewnością nam zostawili.
Przed przychodnią Riley zwolnił.
- Muszę wziąć szybki prysznic, zanim pokażę się ludziom. A ty?

Jane wzruszyła ramionami.

- Raczej nie. W odróżnieniu od ciebie nie wdrapywałam się na drzewa ani nie spuszczałam na linach.

Riley odchrząknął.

- Od lat się nie wspinałem.

Jane ogarnęło poczucie winy. Po ślubie Riley na jej prośbę zrezygnował z uprawiania wspinaczki.

- Nie mogliśmy się was już doczekać - zawołała Vicki, kiedy weszli do przychodni. - Wszystko poszło dobrze?

Jane i Riley wymienili rozbawione spojrzenia.

- Powiedzmy - mruknął Riley. - Da się zorganizować jakąś kawę, Vick?

- Byłam przewidująca i właśnie zaparzyłam. - Uśmiechnęła się rozbrawiająco i weszła za nimi do pokoju dla personelu. - Zostało wam po kilku pacjentów - oznajmiła, nalewając dwojgu lekarzom kawę.

- Bądź taka dobra i przetrzymaj jeszcze trochę moich - poprosił Riley, przeciągając się. - Muszę się opłukać pod prysznicem. - Wziął od Vicki kawę i poszedł z nią na górę, do swojego mieszkania.

Jane odprowadziła go wzrokiem, a potem upiła łyczek.

- Mmm, pyszności, Vicki - pochwaliła. - Widzę, że opanowałaś już obsługę tego nowego ekspresu.

Vicki wzruszyła ramionami.

- Zmieniłam gatunek ziaren. Słuchaj, Jane... - Przeszła niepewnie z nogi na nogę. - Dziś rano chciał się do ciebie zapisać nowy pacjent. Simon Cawley.

- Simon Cawley? - Jane uniosła brwi.

- Mhm. Powiedziałam, że dam mu znać, czy zechcesz go przyjąć. Wiem, że to trochę na bakier z zasadami, ale chciałam najpierw ciebie zapytać o zdanie. Bo on jest trochę szurnięty, prawda?

- A wyglądał na takiego? - spytała z lekkim rozbawieniem Jane.

- Nie. Wyglądał całkiem normalnie.

- No to go przyjmę. - Jane dopiła kawę. - Kiedy mam się go spodziewać?

- Góra za parę minut. Mieszka tu niedaleko, przy stacji kolejowej.

- Świetnie. Dopisz go na koniec listy. Pójdę się teraz odświeżyć. Oczekaj jeszcze parę minut i przyślij mi pierwszego pacjenta.

Kiedy wyszedł ostatni z trzech zapisanych do niej chorych, Jane odetchnęła głęboko, sięgnęła po słuchawkę i wybrała wewnętrzny numer gabinetu Riley'a.

- Cześć, to ja - powiedziała. - Możesz rozmawiać?

- Owszem, słucham cię.

- Mam na liście Simona Cawley'a. Za chwilę tu będzie. Usłyszała, jak Riley wstrzymuje oddech.

- A to ci dopiero - mruknął po chwili. - Chcesz, żebym - był przy tym obecny?

- Nie, to zbyt. Vicki mówiła, że sprawia wrażenie spokojnego, a nie ma powodu, dla którego miałabym go odprawić z kwitkiem...

- To prawda, ale uważaj. W razie czego jestem obok... Jane roześmiała się.

- Czy to aby nie przesada? Ten człowiek nie otworzył jeszcze ust.

- Dobrze, dobrze. Ostrożności nigdy za wiele. Słusznie postąpiłaś, że mnie uprzedziłaś.

Simonowi Cawleyowi daleko było do agresywności. Gdy zajmował krzesło naprzeciwko Jane, wyglądał wręcz na zaleknionego.

- Dziękuję, że mnie pani przyjęła, doktor Rossiter - zagał.

- Leanne nie mogła się nachwalić pani podejścia do niej i do Jamesa.

Jane westchnęła w duchu. Miała nadzieję, że Simon nie przyszedł ciągnąć jej za język. Jak każdego lekarza, i ją obowiązywała zasada poufności. Wszystko, co mówiła jej Leanne, musiało pozostać między nimi.

- Dostałem jakiegoś podrażnienia. - Simon podwinął nogawki dżinsów, odsłaniając oba kolana. - Swędzi jak diabli. Zwariować można.

Biedak. Jane ogarnęło współczucie. Skóra na kolanach znajdowała się w okropnym stanie - była lśniąca, zaczerwieniona i zniszczona.

- Ma pan to gdzieś jeszcze, panie Cawley?

- Na łokciach - odparł. - I chyba na głowie. - Spojrzał na Jane. - Wiem na pewno, że to nie łupież. Dbam o higienę.

- Wierzę panu. - Jane wstała. - Proszę się położyć na kozetce. Przyjrzę się temu przy świetle, ale wygląda mi to na łuszczycę.

Bliższe oględziny potwierdzały wstępną diagnozę, ale Jane postanowiła się upewnić.

- Istnieje wiele rodzajów łuszczycy - wyjaśniła pacjentowi

- i żeby określić, z jakim mamy do czynienia tutaj, zrobię panu biopsję, czyli pobiorę próbkę skóry i dam ją do zbadania.

Zrobimy to w pokoju zabiegowym. Tam będzie panu wygodniej.

- Ta łuszczyca... - Simon usiadł i spuścił nogi z kozetki.

- Czy to coś w rodzaju zapalenia skóry?

- Owszem. I jest to często choroba chroniczna. Potrafimy ją leczyć i objawy czasami ustępują, ale potem mogą niespodziewanie powrócić.

- Czyli już mi to zostanie. - Simon wstał z kozetki i wrócił na krzesło.

- Spróbujemy zrobić, co się da. - Jane ściągnęła rękawiczki i umyła dokładnie ręce. - Zaczniemy od kremu steroidowego. Powinien przynieść panu pewną ulgę. - Wróciła za biurko i zaczęła wprowadzać do komputera szczegóły diagnozy.

- Co do głowy, to jest preparat, który nabędzie pan w aptece bez recepty. Przypomina szampon. - Podała Simonowi karteczkę, na której napisała nazwę produktu. - Po nadejściu wyników może się okazać, że trzeba zmienić sposób leczenia, ale tym będziemy się martwić później. - Włączyła drukarkę i czekała, aż ta skończy drukować receptę.

Simon założył ręce na piersi i przekrzywiając głowę, zapytał..

- Można wiedzieć, skąd mi się to przyplątało w moim wieku?

- Łuszczyca ma to do siebie, że ryzyko zachorowania na nią rośnie właśnie z wiekiem. - *Jane podała mu wydrukowaną receptę. - Najgorzej, że kuracja pomagająca jednemu, u innych daje negatywne rezultaty.

Simon ściągnął brwi.

- A z czego bierze się ta choroba? - spytał.

- Bywa, że wywołuje ją stres i złe samopoczucie, panie Cawley. Czasami sposób odżywiania się...

- Ja bym podpadał pod to pierwsze - wpadł jej w słowo. -
Wiem, że jestem teraz nerwus. - Zacisnął usta. - A wcześniej
nie byłem.

Jane milczała.

- Byłem dziś rano u Leanne w szpitalu. - Simon poprawił
się na krześle. - Powiedziałem jej, że bardzo chcę naprawić to,
co się między nami popsuło.

- To musi być wasza wspólna decyzja - rzekła ostrożnie
Jane. Za nic nie chciałyby się znaleźć na miejscu jego żony.

Simon odchylił się na oparcie krzesła, złączył czubkami
palce i zapatrzył się w nie z namysłem.

- Leanne nie powiedziała nie.

- A więc mogę wam tylko doradzić, żebyście dalej ze
sobą rozmawiali, a jeśli będzie trzeba, zwrócili się o pomoc do
specjalistów. - Jane uśmiechnęła się i wstała. - Chodźmy
zrobić tę biopsję.

Odprowadzając Simona Cawleya do rejestracji, zobaczyła
tam Riley'a. Dała mężowi dyskretny znak, że wszystko w
porządku, a potem zwróciła się do swojego pacjenta:

- Proszę do mnie zadzwonić pod koniec tygodnia.
Powinnam już mieć wyniki z laboratorium. Będziemy wtedy
wiedzieli, co dalej z tym począć.

- Dziękuję, pani doktor. - Simon kołysał się przez chwilę
na piętach, tak jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale chyba
się w końcu rozmyślił. - Dziękuję jeszcze raz - powtórzył i
podszedł do okienka, by podpisać rachunek za wizytę.

Jane wróciła do gabinetu. Burczenie w brzuchu
przypomniało jej, że to pora lunchu. Postawiła na biurku
torebkę i wrzuciła do niej kilka broszur, które powinny
zainteresować mieszkanki schroniska dla kobiet. A może coś
teraz zjeść, a wizytę w schronisku odłożyć na później?
Decyzje, decyzje... Ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę! - zawołała. Do gabinetu zajrzał Riley.

- I jak ci poszło z Simonem Cawleyem? - zapytał bez wstępów, podchodząc bezceremonialnie do biurka i siadając na jego brzeżku.

- Całkiem nieźle. Jest spięty, ale jakoś się trzyma. Riley fuknął ze zniecierpliwieniem.

- Jak długo zamierza tak ciągnąć? Jane wzruszyła ramionami.

- Ma łuszczycę.

- Biedaczysko. - Riley ściągnął brwi. - Na tle nerwowym?

- Tak mi się wydaje. Nawet mi go żal. Stara się bardzo naprawić stosunki z żoną.

Przez chwilę Riley poruszał bezgłośnie ustami.

- Coś mi to przypomina - mruknął w końcu. Jane unikała starannie jego wzroku.

- To nie fair, Riley.

- Wiem. - Wziął ją za rękę i przyciągnął bliżej. - Ale nic na to nie poradzę, że cierpliwość nie jest moją najmocniejszą stroną. - Uśmiechnął się przekornie.

- Zrozum, że ja nie potrafię tak od razu. Potrzebuję czasu. Westchnął i puścił jej rękę.

- Zjesz ze mną lunch, Janey? Czy to też może dla ciebie za szybko?

Uniosła brwi.

- Lunch? Gdzie?

- Może u mnie, w mieszkaniu na górze?

- Co na to ludzie powiedzą? - Przygryzła wargi i zaczęła obracać machinalnie obrączkę na palcu.

- A co oni nas obchodzą? - Wziął ją pod brodę i zmusił, by na niego spojrzała. - Mam pyszną zupę.

- Może jeszcze powiesz, że sam ją ugotowałeś? - spytała z powątpiewaniem.

- Nie tym razem - odparł z przelotnym uśmiechem. Jane wahała się jeszcze, ale w końcu dała za wygraną. Jeśli chcą,

żeby z tego coś wyszło, nie może dopatrywać się za każdym posunięciem Rileya jakichś ukrytych zamiarów. Innymi słowy musi mu znowu zaufać.

- No dobrze. - Przywołała na usta uśmiech i sięgnęła po torebkę. - Prowadźcie, doktorze Brennan. Zaryzykuję...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Zupa była jarzynowa, zawieszista i naprawdę smaczna. Zagryzali ją kawałkami chleba, które odrywali palcami od leżącego na stole bochenka. Jedli w milczeniu.

- Dolewkę? - spytał Riley, kiedy w talerzu Jane ukazało się dno.

- Nie, dziękuję. - Jane pokręciła głową. - Była pyszna, ale więcej już nie zmieszczę.

- To może jeszcze chleba? Roześmiała się.

- A wiesz, że nie odmówię. Bardzo dobry.

- Wstałem skoro świt, żeby go kupić. Piekarnię otwierają o siódmej, wiedziałaś?

Nie wiedziała. Zazwyczaj kupowała kilka pokrojonych już i owiniętych w folię bochenków chleba w supermarkecie i trzymała je w lodówce. Pokręciła z niedowierzaniem głową. Dziwne uczucie jeść coś, co przygotował Riley - choćby to była zupa z puszk. Dziwne i chyba przyjemne...

- A może chcesz do niego miodu? - Riley patrzył z rozbawieniem, jak żona odrywa od bochenka kolejny kawał chleba. - Albo banana? - Podsunął jej miskę z owocami.

Jane przekrzywiła głowę i zastanawiała się przez chwilę.

- Raczej miodu. Jest w spiżarni? - Wstała.

- Powinien. A skoro już jesteś na nogach, to nastaw wodę na herbatę.

- Dobrze. - Napełniła elektryczny czajnik, włączyła go i odwróciła się do męża. - A swoją drogą, jak ci dzisiaj poszło, nie licząc oczywiście tego porannego dramatu?

- Całkiem nieźle.

- Pacjenci też pewnie zadowoleni. Jesteś dobrym lekarzem ogólnym, Riley.

Kiedy usiedli przy herbacie, Riley zagaił:

- Wiesz, przemyślałem jeszcze raz sprawę ukrywania naszego małżeństwa.

- No i? - Jane spojrzała na niego pytająco. Riley ściągnął brwi.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wtajemniczę w nasz sekret Ralpa i Angela, ale podkreślę, że potrzebujemy czasu i prywatności na dojście ze sobą do ładu.

Jane zapało dech w piersiach. Spuściła wzrok na swoje dłonie.

- Widzę, że zmieniasz front - odparł, siląc się na swobodny ton. I w ten sposób wywiera na ciebie większą presję, żebyś powiedziała, co myślisz o przyszłości waszego małżeństwa, ostrzegł ją wewnętrzny głos.

Riley wzruszył lekko ramionami.

- To nie fair mieć tajemnice przed partnerami. Myślałem, że tak będzie najlepiej, ale teraz dochodzę do wniosku, że nie potrafię - wyznał szczerze.

Jane posepnie pokiwała głową. Ona też nie chciała nikogo oszukiwać.

- Zgoda. Sam im to powiesz, czy porozmawiamy z nimi razem?

Uniósł nieco głowę, ale wzrok nadal miał spuszczonej,

- Sam. I zaznaczę od razu, że to ja postawiłem cię w niezręcznej sytuacji, zjawiając się tutaj i zatrudniając w waszej przychodni.

Jane wstała i zaczęła sprzątać ze stołu.

- Zostaw to. - Riley podniósł się powoli z krzesła i zbliżył do niej.

Serce zabiło jej mocniej.

- O co chodzi, Riley? Posłuchaj...

- Przychodzą mi do głowy najdziwsze pomysły - wymruczał, kładąc ciepłe dłonie na jej ramionach.

Zadrżała i oblizwała wargi.

- Na przykład jakie?

- Na przykład takie... - Riley pochylił głowę i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Ooooch... - Wstrzymała oddech i stając na palcach, przysunęła do niego usta.

Pocałunek wyzwolił w niej lawinę emocji i przyprawił o zawrót głowy. Wciągając w nozdrza znajomy zapach jego skóry, zarzuciła mu ręce na szyję, zanurzyła palce w jego włosach, przywarła doń całym ciałem.

- Chodźmy do łóżka, Janey - szepnął jej do ucha. - Mamy czas...

Zmartwiała. Oderwała się od niego. Oczy jej płonęły.

- Jak możesz, Riley?

- Co? - spytał zdeorientowany, rozkładając ręce.

- Manipulować mną! - wyrzuciła z siebie.

- Ja tobą manipuluję? - zdziwił się. - Skąd ci to przyszło do głowy? Nie zauważyłem również, żebyś się opierała, Jane. Zresztą jesteśmy wciąż małżeństwem. Co w tym dziwnego czy niestosownego, że chcę pójść po południu do łóżka z własną żoną?

- Zanim poważnie porozmawialiśmy?! - Jane czuła, jak na szyję i policzki wypełza jej rumieniec.

- Rozmowy do niczego nas w przeszłości nie doprowadziły,

- Wierzyć mi się nie chce! - Miotał nią taki gniew, że najchętniej czymś by w niego rzuciła. - Wszystko zepsułeś.

- Tak, zwał całą winę na mnie! - Riley zaklął pod nosem.

- Dorośnij wreszcie, Jane.

- I kto tu mówi o dorastaniu! O Boże... - szepnęła bezradnie. - Nie chce mi się z tobą dyskutować...

Rozejrzała się za swoją torebką, nie mogła zebrać myśli.

- Tego szukasz? - Riley podał jej torebkę. Oczy miał zimne jak lód. Wyrwała mu ją z ręki, nie spoglądając na

niego. - Na miłość boską, uspokój się! - Zaciśnął pogardliwie usta.

- Snuj sobie swoje fantazje gdzie indziej, Riley - odparowała, nerwowym ruchem poprawiając na sobie bluzkę i przeczesując włosy drżącymi palcami.

Pokręcił głową i westchnął głęboko. Czuł się poniżony, skompromitowany niczym aktor, który po wyjściu na scenę zapomniał tekstu. Jak śmiała kwestionować jego motyw? Jeśli mają czekać, aż ona pójdzie po rozum do głowy, to na ich małżeństwie już teraz można położyć krzyżyk.

- Niech będzie po twojemu, Jane. - Wziął się pod boki.

- Ale nie oczekuj ode mnie, że będę cię błagał na kolanach. Albo wyjdiesz mi naprzeciw, albo koniec z nami.

Jane była tak wzburzona, że nie pamiętała, jak znalazła się przed starym drewnianym budynkiem zaadaptowanym na schronisko dla kobiet.

Nacisnęła przycisk domofonu u drzwi frontowych, które ze względów bezpieczeństwa zamykano. Czekając na wpuszczenie, cofnęła się kilka kroków i oparła o barierkę werandy. Motyl o purpurowych skrzydełkach przysiadł na obsypanym białymi kwiatkami krzewie. Widok ten nie wiedzieć czemu podniósł ją na duchu i już z uśmiechem spojrzała na Marianne Ross, która otworzyła drzwi.

- Bardzo ci dziękuję, że przyjechałaś, Jane. - Kierowniczka schroniska była czterdziestokilkuletnią, pulchną kobietą o ciemnych, upiętych w kok włosach. Uśmiechała się przyjaźnie. - Chodźmy do biura - powiedziała. - Napijesz się herbaty?

- Chętnie - przystała Jane.

- Jak udał się urlop? - Marianne wskazała jej fotel i nastawiła elektryczny czajnik. - Byłaś na Złotym Wybrzeżu, tak?

- Mhm. - Jane zamrugała, usiłując zebrać myśli. W jej odczuciu od tego urlopu upłynęły już całe wieki. - Było bardzo przyjemnie. Wzięłam też udział w jednodniowym seminarium zorganizowanym przez jedną z firm farmaceutycznych.

- I co nowego w tej branży? - spytała ironicznie Marianne.

- Testują nowy krem na nowotwór skóry. Wyniki są obiecujące.

- Kiedy znajdzie się w sprzedaży? - Marianne postawiła na stole kubki z herbatą i talerzyk ciasteczek.

Jane wzruszyła ramionami.

- Najwcześniej za jakieś trzy lata.

- Myślisz, że ludzie nauczą się rozsądnie korzystać z kąpieli słonecznych?

- Przy naszych plażach i długich, upalnych latach? - Jane pokręciła sceptycznie głową. - Śmiem wątpić. Młodzi nadal uważają, że opalenizna dodaje im seksapilu. - Jane upiła łyk gorącej herbaty. - Po co chciałaś się ze mną widzieć?

- Z kilku powodów. - Kierowniczka spuściła wzrok, a potem spojrzała - badawczo na lekarkę. - W przyszłym tygodniu odbędzie się doroczne zebranie naszego komitetu - zaczęła ostrożnie. - Chcielibyśmy, żebyś weszła w jego skład.

- Och... - Jane otworzyła i zamknęła usta. - I na czym polegałyby moje obowiązki?

- Jesteśmy pełni uznania dla tego, co dla nas robisz. Dla pasji, z jaką zabiegasz o zdrowie kobiet. - Marianne rozłożyła ręce. - Mamy nadzieję, że zechcesz się jeszcze bardziej zaangażować w naszą działalność, może pomagać w opracowywaniu i rewizji niektórych strategii...

Jane nie wiedziała, co powiedzieć. Sprawa zdrowia i kobiet leżała jej bardzo na sercu, lecz czy znajdzie czas?

- Pochlebiasz mi, Marianne, ale...

- Przynajmniej to sobie przemyśl - wpadła jej w słowo Marianne.

Jane spojrzała na kwitnące drzewa za oknem, podświetlane promieniami słońca. Propozycja była kusząca. Robiono tutaj tyle dobrego, i to przy tak ograniczonych funduszach.

- Dam ci odpowiedź za kilka dni, dobrze? Masz do mnie coś jeszcze?

- Przybyła nam nowa lokatorka. - Marianne nachyliła się konfidencjonalnie do Jane. - Ma na imię Julia. Przyjechała we wtorek autobusem z Brisbane z dwojgiem dzieci, Brandonem i Tamiką. Brandon ma cztery, Tamika dwa latka. Pokłóciła się z chłopakiem, który jest narkomanem. Wciąż groził, że pobije ją i dzieci, jeśli nie będzie mu oddawała całego zasiłku.

Jane tyle razy słyszała podobne historie, że nie robiły już na niej większego wrażenia.

- I ona oddawała mu te pieniądze?

- Tak... a przynajmniej ich lwia część. Mówi, że w końcu się zbuntowała, zabrała dzieci i wsiadła z nimi do pierwszego lepszego autobusu opuszczającego miasto. Przywiózł ich tutaj, do Mt Pryde.

- Chcesz, żebym z nimi porozmawiała? - spytała Jane. - Byłabym spokojniejsza - przyznała Marianne, kiwając głową. - Wiem z doświadczenia, że do każdego przypadku należy podchodzić indywidualnie. Julia i jej dzieci potrzebują czasu na przystosowanie się, ale wydaje mi się, że nie robią zadowalających postępów. Od kiedy się tu znaleźli, trzymają się na uboczu i nie odstępują się na krok, jak zbiegowie.

- Boże... - Jane ogarnęło współczucie dla tej nieszczęsnej trójki. - Co, u licha, każe młodym kobietom wiązać się z takimi kretynami?

Marianne wiedziała, że pytanie Jane jest retoryczne. Mimo to odpowiedziała na nie:

- Brak życiowego doświadczenia i poszukiwanie miłości za wszelką cenę.

- Gdzie teraz są? - Jane schyliła się po torbę i wstała z fotela.

- W świetlicy - odparła Marianne. - Zaprowadzę cię do nich, a jeśli Julia okaże się skora do rozmowy, wycofam się po cichu.

Po spotkaniu z Julią, Jane zrelacjonowała kierownicze jego przebieg i swoje spostrzeżenia.

- Są przestraszeni i niedożywieni - mówiła. - Julia przez kilka ostatnich tygodni nie miała za co kupić jedzenia. Wymaga specjalnego podejścia.

- Wiem. Ale do tej pory nie była komunikatywna, a ja nie chciałam naciskać.

Jane kiwnęła głową.

- Myślę, że już się otworzyła. - Czuła jeszcze vibracje po spotkaniu z młodą kobietą. Z początku Julia była nieufna, ale Jane udało się stopniowo przełamać lody, i strach, jaki wyszedł wtedy z dziewczyny, był niemal namacalny. - Julia boi się śmiertelnie, że Clint, ten jej chłopak, będzie ich szukał i w końcu znajdzie.

Marianne pokręciła głową.

- Zapewniałam ją po wielokroć, że tutaj jej nie znajdzie. A gdyby nawet, to zajmie się nim policja.

Jane pomasowała palcami skronie.

- Zajrzę tu jeszcze w przyszłym tygodniu, Marianne. Aha, podawaj im witaminę C. Dzieci są trochę anemiczne.

- Nie ma sprawy. - Marianne otworzyła drzwi gabinetu. - Ktoś podarował nam wczoraj skrzynkę kiwi. One mają dużo witaminy C, jeśli się nie mylę?

Jane uśmiechnęła się.

- Mnóstwo. I muszą jeść dużo świeżych warzyw, do tego kluski, ryż. Dzieci lubią taką dietę. Oj, przepraszam... - Jane skrzywiła się. - Jajko kurę uczy.

- Nawet tak nie myśl - rzekła z powagą Marianne. - Jesteśmy ci niezmiernie wdzięczni za szczere zainteresowanie naszą działalnością. A skoro już o tym mowa... - Marianne uśmiechnęła się i pociągnęła Jane do tylnego wyjścia - to zobacz, co ostatnio zdobyliśmy dla dzieci.

- Och, to wspaniałe! - Jane rozglądała się z zachwytem po dużym podwórku, które zmieniło się w plac zabaw. Stały tam teraz huśtawki, zjeżdżalnia, drabinki, a środek zajmowała pusta jeszcze piaskownica w kształcie olbrzymiej błękitnej muszli. - Dla dzieci to istny raj. - Roześmiała się. - Kto to ufundował?

- Lions' Club. Byli dla nas bardzo szczerzy. A piasek do piaskownicy powinien przyjechać jutro.

- Nie zapominajcie czymś jej przykrywać, kiedy dzieci nie będą się w niej bawiły - poradziła Jane.

- Chodzi ci o bezdomne koty? - Marianne zaśmiała się. - Nie martw się, już o tym pomyśleliśmy. - Wróciły do budynku. - Muszę ci jednak powiedzieć, że największym powodzeniem u dzieci cieszy się nadal nasz stary domek - miniatuurka.

- Może dlatego, że czują się w nim bezpieczne. - Jane zerknęła na miniaturowy domek z pomalowanymi na jaskrawe kolory parapetami i drzwiami. - A nie zaznały tego poczucia bezpieczeństwa w domach, z których pochodzą.

Przez cały tydzień pracowała bez wytchnienia i nie miała czasu zastanawiać się nad stanem swojego związku z Rileyem. Widywała się z nim, oczywiście, ale tylko przelotnie, bo on z kolei zaprzątnięty był teraz zapoznawaniem się ze specyfiką pracy w małej prowincjonalnej przychodni oraz jej pacjentami. Wiedziała, że raz Angelo wyciągnął go po pracy

na squash, a Mitchellowie zaprosili któregoś wieczoru na kolację. Ciekawe, czy powiedział im, że są małżeństwem. Raczej nie, bo nie zauważyła żadnej zmiany w ich stosunku do niej.

Pod koniec cotygodniowego zebrania personelu Ralph Mitchell popatrzył po obecnych sponad zsuniętych na czubek nosa okularów i z uśmiechem powiedział:

- Muszę przyznać, że dzięki Rileyowi praca przychodni w tym tygodniu przebiegała o wiele sprawniej.

Milczenie, które na chwilę zaległo, przerwał Angelo.

- A jakie jest twoje pierwsze wrażenie, Riley? - spytał.

- Poszło lepiej, niż się spodziewałem. Dziękuję wam wszystkim, że cierpliwie mnie znosiliście. - Spojrzał na Jane, a ta szybko odwróciła wzrok.

Ralph odchrząknął.

- No, jeśli nikt nie ma już nic do dodania, to ja będę leciał. Po drodze do domu wpadnę do Angusa McNaira.

- Co tam z jego biodrem? - Angelo dopił kawę i odstawił kubek na stół.

Ralph zachichotał.

- Wierci mi dziurę w brzuchu, żeby z nim umówił na golfa. Powiedziałem mu, że na razie powinien poprzestać na spokojniejszej grze w szachy. - Tu Ralph, zwracając się do Jane i Rileya, wyjaśnił: - To Angus przed dwudziestu laty założył przychodnię zdrowia w Mt Pryde. Wspaniały z niego staruszek. Poznacie go, jeśli dotrzwacie tutaj do Bożego Narodzenia. Tradycyjnie odwiedza wtedy w przebraniu świętego Mikołaja leżące w szpitalu dzieci.

- Za Jane nie mogę się, rzecz jasna, wypowiadać. - Riley spuścił oczy. - Ale ja zamierzam tu zostać na dłużej.

Jane spojrzała na niego z niedowierzaniem. Jak mógł sugerować, że z nich dwojga to ona nie jest skłonna zagrzać miejsca w Mt Pryde? Przecież pierwsza zaczęła zapuszczać tu

korzenie, kupując dom! Pokręciła głową. Nie rozumiała machinacji swojego męża.

- Ja też zamierzam zostać tu na dłużej - oznajmiła, siląc się na spokój.

- Dobrze już, dobrze. - Ralph zebrał notatki. - Wierzymy z Angelem, że między wami jakoś się ułoży.

A więc musiał im powiedzieć. Jane zaczerwieniła się.

- W ten weekend ja mam dyżur pod telefonem - poinformował Ralph, odsuwając się z krzesłem od stołu i wstając. - Życzę więc wszystkim miłego odpoczynku. Jeśli Bóg da, zobaczymy się w poniedziałek.

Kiedy wyszedł, w sali zaległa napięta cisza.

- Słuchajcie, moi mili. - Angelo odchylił się na oparcie krzesła i zabębnił palcami po stole. - Jeśli potrzebujecie miejsca, żeby zacząć się czymś obrzucać, to ja się usunę.

- Zostań, Angelo - warknęła Jane. - Za Rileya, rzecz jasna, wypowiadać się nie mogę, ale ja chciałabym przeprosić, że postawiliśmy cały zespół w takiej niezręcznej i kłopotliwej sytuacji.

Riley przeszył ją twardym spojrzeniem.

- Punkt dla ciebie, Jane. Przeholowałem ze swoimi komentarzami, Angelo. To się więcej nie powtórzy.

Jane miała tego dosyć. Musiała zaczerpnąć powietrza. Wstała, przeprosiła i opuściła salę. Po drodze wstąpiła jeszcze do swojego gabinetu po torbę lekarską i wyszła z budynku. Dlaczego wszystko tak się gmatwa, myślała, idąc przez parking do swojego metro. Oddałaby całą tygodniówkę, by się dowiedzieć, do czego zmierza Riley. I nagle zobaczyła go opartego o jej samochód. Z sercem podchodzącym do gardła zrobiła kilka ostatnich kroków.

- Tak dalej być nie może, Jane. - Riley patrzył na nią poważnie. - Musimy przerwać tę idiotyczną wojnę.

Nie zwracając na niego uwagi, włożyła torbę lekarską do bagażnika, zatrzasnęła go i z kluczykami w dłoni podeszła do drzwi od strony kierowcy. Riley zastąpił jej drogę.

- Co się z tobą dzieje? - zapytała. - Czym sobie zasłużyłam na takie traktowanie?

Przestąpił niepewnie z nogi na nogę i zacisnął szczęki. Do licha, muszą jakoś dojść do porozumienia... w taki czy inny sposób.

- Przepuść mnie do drzwi, Riley - warknęła. - Ściemnia się i chcę jechać do domu.

Słońce rzeczywiście chowało się już za horyzont.

- Do diabła, Jane, dlaczego nie jesteśmy razem? Pokręciła głową i ścisnęła kluczyki w ręku.

- To ty ode mnie odszedłeś, Riley.

- Czy moglibyśmy wreszcie o tym zapomnieć? - Westchnął ciężko. - Słuchaj, nie będziemy tu stali do rana. Chodź do mnie. Napijemy się czegoś, upichcimy coś wspólnie na kolację... - Wyciągnął rękę i pogładził ją po ramieniu. - Co ty na to?

Jane zamrugwała. Jaką ma alternatywę? Kolejna bezsenna noc spędzona na niewesołych rozmyślaniach; Westchnęła z rezygnacją.

- No dobrze. Ale tylko na chwilę. Riley zaklął cicho pod nosem.

- Dlaczego ty zawsze musisz stawiać jakieś warunki?

- Ja stawiam jakieś warunki?

- Przepraszam, może mi się zdawało. Nie zwracaj na mnie uwagi. Ostatnio jestem bardzo spięty i drażliwy. - Otoczył ją ramieniem i poprowadził do bocznego wejścia.

- Może weźmiesz coś na uspokojenie? - zaproponowała, kiedy znaleźli się w mieszkaniu.

- Najlepiej uspokoiłaby mnie własna żona. - Położył dłoń na jej karku.

Zahipnotyzowana dotykiem jego palców Jane stała nieruchomo, wsłuchując się w zgrzyt przekręcanego w zamku klucza.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W mieszkaniu panował nadspodziewany ład i porządek.

- Podciągnąłem się ostatnio w prowadzeniu gospodarstwa domowego - oznajmił z uśmiechem Riley, jakby czytając w myślach Jane.

Fakt, ten rok poza domem pod pewnymi względami wyszedł mu jednak na dobre. Jane zbliżyła się do okna i wyjrzała. Być może ta sama pielęgniarka, która uczyła go gotować, wpoila mu również zamiłowanie do porządku. Ona też kiedyś tego próbowała, ale z miernymi rezultatami. To chyba wina kochającej mamusi, która, zanim się poznali, wszystko za niego robiła...

Jane zganiła się w duchu za tę myśl. Lubiła teściową. Natalie Brennan była uroczą starszą panią, a jeśli rozpieszczała trochę swojego jedynaka, to trudno mieć jej to za złe. Do niej odnosiła się zawsze serdecznie i nie dawała odczuć różnicy pochodzenia,

- O czym myślisz? - Riley podszedł do niej i wyjrzał na ogród na tyłach budynku przychodni.

- O twojej matce - przyznała Jane.

- A konkretnie? - Podał jej kieliszek wina, a ona spojrzała na niego z namysłem.

- Czy twoi rodzice komentowali jakoś obecną sytuację? Pytam, bo odkąd wyjechałeś, nie miałam z nimi kontaktu.

- Byli przygnębieni. - Zawiesił na chwilę głos. - Nie próbowałaś się z nimi kontaktować z obawy, że źle cię przyjmą?

- Nie da się ukryć, że nie jestem synową, jaką sobie wymarzyli - powiedziała z goryczą.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Skąd u ciebie to zakompleksienie i niewiara w siebie, Jane? Moi rodzice cię kochali. Kochają - poprawił się szybko.
- A nie kontaktowali się z tobą, bo nie wiedzieli, gdzie jesteś.

Spojrzała mu w oczy.

- Przykro mi - odrzekła cicho. - Wydaje mi się, że przez ten ostatni rok oboje uciekaliśmy od rzeczywistości, nie sądzisz?

Oczy mu pociemniały, obserwował uważnie jej twarz.

- Przecież wiesz, Jane, dlaczego wyjechałem do Afryki. Uniosła kieliszek do ust i upiła łyček wina.

- I praca tam spełniła twoje oczekiwania? - Odwróciła się i położyła dłoń na jego piersi. - Nie powiedziałeś jeszcze...

- Najważniejsze, że wróciłem, prawda? - Przykrył jej dłoń swoją. - Przeważnie byłem tak zapracowany, że nie miałem czasu na myślenie. Ale zdarzały się też chwile bardziej rozrywkowe.

- Dlaczego zostałeś na kolejne sześć miesięcy?

- To proste. - Wychylił wino do dna. - Czułem, że jestem tam potrzebny.

Zarumieniła się i spuściła oczy.

- Byłeś mi wierny? Zesztywniał, twarz mu się ściągnęła.

- Co to za pytanie?

- Bardzo logiczne. Jesteś młodym, zdrowym mężczyzną.

Rok bez...

- Dosyć! - mruknął. - Jeszcze chwila i twoja wybujała wyobraźnia skończy się sprawą rozwodową.

Zapadło niezręczne milczenie.

- Chyba... lepiej pójdę - wyszeptała Jane.

- O nie. - Riley odetchnął głęboko. - Nie uciekniesz mi, Jane. Dopij wino i zrobimy sobie coś do zjedzenia. Tak jak się umówiliśmy.

Wychyliła kieliszek do dna i oddała go Rileyowi.

- Chciałabym się odświeżyć.

- Idź. - Ich oczy spotkały się na dłuższą chwilę. - Znasz drogę.

Znała. Ona też tu mieszkała przez kilka pierwszych tygodni pracy w przychodni.

Zamknawszy się w łazience, rozplakała się. Były to łyzy frustracji, gniewu. Miała do Riley'a żal, którego nie rozproszy wspólne przyrządzanie kolacji.

Co za cholerny facet! Tłumiąc szloch, połała sobie zimną wodą nadgarstki i obmyła twarz. Odwieszając ręcznik, spojrzała w lustro. Wyglądała okropnie. Oczy za duże w stosunku do twarzy, drżące usta. Pociągnęła nosem i odwróciła wzrok. Na szczęście miała ze sobą torebkę. Poprawiła makijaż i przeczesła szczotką włosy. Efekt nie był oszałamiający, ale podniósł ją trochę na duchu.

Kiedy wróciła do pokoju, Riley odwrócił się od okna, objął ją i przytulił. Przywarła do niego z bijącym sercem. Stali tak przez dłuższą chwilę. Potem wyzwoliła się z jego ramion, cofnęła i oczy znowu zaszły jej łzami. Dlaczego byli takimi głupcami?

- Przepraszam - wyszeptała.

- Jak mogliśmy do tego dopuścić? - Patrzył na nią oczami pociemniałymi z pożądania. - Naprawimy to jakoś, kochanie. Uda nam się, zobaczysz.

Wyciągnęła rękę i odgarnęła mu z czoła kosmyk ciemnych włosów. Mogła mieć tylko nadzieję, że tak się naprawdę stanie. Trzymając się za ręce, weszli do kuchni. Jane, choć psychicznie wyczerpana, była głodna.

- Co sobie upichcimy? - zapytała. - Podgrzejemy coś z puszki?

- Mam lepszą propozycję. - Riley ruchem magika otworzył małe kartonowe pudełko stojące na szafce. - Jeden z pacjentów sprezentował mi dzisiaj trochę jaj. Będą omlety.

- Kto to był? - zainteresowała się Jane.

- Nie powiem. - Riley podszedł do zlewu, żeby umyć ręce. - Jeszcze byś mi go odbiła.

Jane naląła na patelnię oliwy z oliwek, a Riley zabrał się za rozbijanie jaj.

- O, przyprawy też masz. - Uniosła brwi na widok słoiczków stojących na parapecie kuchennego okna. Była pod wrażeniem zapobiegliwości Riley'a.

- Kupiłem je w supermarkecie - wyjaśnił. - W Nigerii stosowaliśmy mnóstwo przypraw. Musieliśmy, żeby posiłki nadawały się do jedzenia. Ale nie bardzo wiem, co w którym jest. Nie miały etykiet

Jane wzięła pierwszy z brzegu słoik. Zawartość przypominała nogietek, ale równie dobrze mogła to być któraś z nowych odmian pietruszki.

- To nic - powiedziała. - Jestem zdania, że powinniśmy wykazywać więcej fantazji w przyprawianiu posiłków.

- A ten pacjent nazywa się Harry Jorgenson. - Riley odsunął ją delikatnie, żeby dostać się do kuchenki.

- O, leczyłam go kiedyś. Znowu dokucza mu artretyzm?

- Mnie skarżył się na bóle pleców. Mówi, że ma jedną z największych tuczarni świń w okolicy. - Riley odsuwał łąpatką puszyste omlety od ścianek patelni.

- Mmmm. Riley, masz może składniki do sałatki ogórkowo - pomidorowej?

- Niewykluczone. Zaraz sprawdzę. A wracając do Harry'ego, to jego dolegliwości są według mnie skutkiem przepracowania.

- Nie dość że uprawia ziemię, to jeszcze hoduje świnię. - Jane skropiła sałatkę octem. - Od dziecka ciężko pracował fizycznie. Poślesz go na prześwietlenie?

- Na początek przepisałem mu maść przeciwzapalną i mam nadzieję, że uda mi się go namówić na fizykoterapię. Oczywiście najbardziej potrzeba mu odpoczynku.

Jane zlizwała oliwę z palca.

- Co nie wchodzi w rachubę. Riley ściągnął brwi.

- Może powinniśmy zainicjować jakąś akcję propagowania wśród tutejszych mężczyzn zdrowego trybu życia. Jak myślisz, chwyciłoby?

Jane wzruszyła ramionami.

- Przedstaw tę propozycję na najbliższym zebraniu personelu. Zobaczmy, co powiedzą Ralph i Angelo. Harry to przemiły staruszek, prawda?

- Owszem - mruknął Riley. - Chce mnie uczyć orania.

- Traktorem? Riley zachichotał.

- Koni już się do tego nie używa. Ale nie obawiaj się, Janey, będę uważał.

- Chcesz przez to powiedzieć, że skorzystasz z oferty Harry'ego? - spytała zaskoczona.

- A czemu by nie? - Riley uniósł brwi. - Powinniśmy być otwarci na nowe doświadczenia - dorzucił przekornie.

- Z pełnym żołądkiem świat wydaje się lepszy - orzekł Riley, kiedy siedzieli po kolacji przy kawie.

- Jak tam było? - Jane spojrzała na niego pytająco.

- W Afryce? Tragicznie. - Riley zacisnął szczęki. - Na Timorze dysponowaliśmy przynajmniej jakim takim zapleczem. Mam nadzieję, że nasze wysiłki nie pójdą na marne.

- Czy praca w Mt Pryde będzie cię satysfakcjonowała? - zapytała. - Czy obowiązki wiejskiego lekarza nie wydadzą ci się zbyt przyziemne w zestawieniu z doświadczeniami, które wyniosłeś z pracy z Lekarzami bez Granic?

- Podoba mi się tu - odparł bez wahania. - Do licha, czy ja uciekałem kiedyś przed trudnościami?

- Nie przypominam sobie - przyznała z przekąsem.

- Być może, wyjeżdżając do Afryki, kierowałem się po trosze emocjami. - Spojrzał na nią i musnął palcem jej policzek. - Ale od strony zawodowej było to jedno z

najcenniejszych doświadczeń mojego życia. Zresztą dobrze mieć coś takiego w życiorysie - zakończył z uśmiechem.

Pozmywali naczynia i Riley wstawił wodę na jeszcze jedną kawę. Wyraźnie zakłada, że zostanie u niego na noc, pomyślała Jane. A kiedy wyjął dwa kieliszki i napełnił je portem, z niepokojem zaszczoła jej w ustach.

Słuchając Rileya, dochodziła do wniosku, że ten rok poza domem zmienił go pod wieloma względami. Czy spokojna egzystencja wiejskiego lekarza ogólnego naprawdę będzie mu odpowiadała? Kto wie, czy po jakimś czasie nie pogoni znowu za kolejnym marzeniem, rzucając wszystko, by poświęcić się jakiejś misji na drugim końcu świata? A jeśli wtedy będą już mieli dziecko? Czy zostawi ich oboje?

- Dobrze czasem pogadać, prawda? - Riley w końcu wstał i przeciągnął się.

Jane kiwnęła głową. Sama niewiele się odzywała, ale słuchała go z zainteresowaniem. Riley wyciągnął rękę.

- Pani pozwoli, doktor Rossiter. Odprowadzę panią do samochodu.

Jane z mieszanymi uczuciami szła do drzwi. Najwyraźniej nie zamierza nalegać, by została. Czy zostałaby, gdyby próbował ją zatrzymać? Musiała przyznać, że niewykluczone.

Kiedy doszli do samochodu, odetchnęła głęboko.

- Zobaczymy się jutro? - spytała.

- Tak myślę - mruknął i cmoknął ją w policzek. - Przywiozę ci moje pranie. - Patrzył na nią z góry, kosmyki ciemnych włosów opadały mu na czoło.

- A niech cię. - Chciała parsknąć śmiechem, ale ten śmiech uwiązł jej w krtani, gdy niespodziewanie Riley wziął ją w objęcia, przyciągnął do siebie i pocałował w usta.

Za krótko trwał ten pocałunek...

Riley cofnął głowę i odsunął się na długość wyciągniętych ramion. Oddech miał przyśpieszony, oczy zamglone.

- Wiem, że ty też tego chciałaś, Jane - powiedział. -
Całym sercem.

Wyzwanie w jego spojrzeniu przyprawiło Jane o dreszcz. Widziała, że hamuje się całą siłą woli. Nawet nie próbowała udawać, że nie rozumie, o co mu chodzi.

- Riley... - Krtań miała ściśniętą. - Przemyślałam to wszystko jeszcze raz, ale nadal nie jestem pewna...

Wziął jej rękę i unióśł do ust.

- To poczekamy. - Popchnął ją lekko do drzwi od strony kierowcy.

Skąd to rozczarowanie? Nogi miała jak z waty, sztywnymi, niezgrabnymi palcami celowała kluczykiem w dziurkę.

- Zaczekaj!

Obejrzała się przez ramię, unosząc pytająco brwi.

- Tak?

- Masz kapcia.

O cholera. Co za okropny kłopot!

- Mógłbyś mi wezwać taksówkę?

- Nie przesadzaj. - Ściągnął brwi. - Zaraz zmienię ci to koło. Masz w bagażniku zapasowe?

- Nie.

Nerwowo przeczesał palcami włosy.

- A tyle razy ci powtarzałem, żebyś je wozila.

- I wożę - odparta urażona. - To właśnie to. - Kopnęła przebitą oponę. - Rano złapałam gumę w przednim kole. Zostawiłam je w warsztacie i miałam odebrać, wracając z pracy.

- Na to już za późno. - Zacisnął wargi. - Zaczekaj, skoczę po kluczyki. Odwiozę cię do domu.

- Nie trzeba. Wystarczy, że wezwiesz mi taksówkę. Machnął niecierpliwie ręką i wbiegł z powrotem do budynku. Jane czekała z rezygnacją.

Kilka minut później, siedząc już z Rileyem w land - roverze, zżymała się na złośliwość losu. Czy znowu będzie musiała przechodzić przez to samo, co przed chwilą, kiedy dojadą na miejsce? A może Riley zacznie się do niej wpraszać? Westchnęła. Od rozpamiętywania rozmaitych scenariuszy zaczynała ją boleć głowa.

- Przestań, Jane. - Riley spokojnie, z rozmysłem, położył dłoń na jej udzie.

- Co...? - Zaparto jej dech w piersiach. Spuściła wzrok.

- Rozluźnij się. Nie poproszę cię o nic, czego nie jesteś skłonna mi dać - powiedział łagodnie.

Uświadomiła sobie z oburzeniem, że znowu zrzuca na jej barki ciężar podejmowania decyzji.

- Tędy jest do mnie dalej - zwróciła mu uwagę.

- Naprawdę? - Wzruszył ramionami. - Nie wiedziałem. Oczywiście, że wiedział.

- Nie rozumiem, jak możesz mówić jedno, a robić coś innego - odezwała się, siląc się na spokój. - To nie jest gra. Rozmawiamy o spędzeniu tutaj reszty życia. I jeśli wybrałeś dłuższą drogę, żeby dać mi więcej czasu na zmianę zdania w sprawie naszych wzajemnych stosunków, to z góry uprzedzam: nie łudź się.

- Ale warto było spróbować. - Zachichotał i zerknął na nią z ukosa. - Oj, dałabyś już spokój! Jesteśmy małżeństwem. To chyba nie grzech, że chcę znowu dzielić z tobą łóżko, prawda?

Jane wzięła głęboki oddech.

- Wybij to sobie z głowy. - Założyła ręce na piersi i zapatrzyła się w przestrzeń.

Zapadło ciężkie, niezręczne milczenie.

- Zasłużyliśmy sobie na coś lepszego, Jane.

Zamrugła, słysząc w jego głosie ból. Czuła się jednocześnie rozbita, skruszona i zła. Odchyliła się na oparcie fotela i próbowała rozluźnić.

I wtedy to zobaczyła.

- Zatrzymaj się, Riley! - Chwyciła go za ramię.

Nacisnął hamulec i spojrział w pokazywanym przez nią kierunku. Zza pobliskiego wysokiego ogrodzenia wydobywały się kłęby dymu.

Jane zrobiło się niedobrze.

- To schronisko dla kobiet! Musimy coś zrobić...

- Najlepiej wezwać straż pożarną. - Riley sięgnął do tylnej kieszeni po telefon komórkowy.

- Wieki całe miną, zanim oni tu dotrą. - Jane rozejrzała się gorączkowo. - To straż ochotnicza i mamy piątek wieczór. Kto ich pozbiera?

Riley, klnąc pod nosem, wyłączył telefon i otworzył drzwi.

- Trzymaj się blisko mnie - rzucił, chwytając Jane za rękę. Przebiegli na drugą stronę ulicy.

Drewniana brama wjazdowa stała otworem. Samo to wzbudziło w Jane podejrzenia.

- Ktoś się tu chyba włamał.

Riley nie krył zaniepokojenia. Czyżby to było celowe podpalenie?

- Mieszka tu jakiś dozorca czy ktoś taki?

- Kierowniczką. Ma mieszkanie na tyłach, ale teraz jej tam nie będzie. W piątek wieczorem pracuje w telefonie zaufania.

- A więc ten, kto to zrobił, dobrze wybrał porę.

Jane przeszedł zimny dreszcz. Czyżby sprawdziły się obawy Julii? Czyżby mężczyzna, przed którym uciekała, znalazł ją i dzieci, i teraz się na nich mści?

- Ile osób może być w środku? - Riley szarpnął klamkę drzwi frontowych, ale te nie ustąpiły.

Jane rozejrzała się w panice.

- Nie mam pojęcia. Ale co najmniej troje. Dziewczyna imieniem Julia i dwójka jej dzieci. Jedno ma dwa, drugie cztery latka. - Jane szukała gorączkowo klucza najpierw na framudze nad drzwiami, potem pod donicą.

- Opanuj się, Jane - warknął Riley. - W dzisiejszych czasach nikt nie chowa kluczy w takich oczywistych miejscach. Te drzwi są zamknięte na głucho. Spróbuję wejść przez okno.

- Pokaleczysz się! - Jane robiło się słabo ze strachu. Śwąd dymu stawał się z każdą chwilą coraz intensywniejszy. Nawet jeśli Rileyowi uda się dostać do środka, to będzie ryzykował życie.

- Wracajmy do samochodu - rzucił i pierwszy puścił się biegiem. - Łap wszystko, co ci wpadnie w ręce, Jane. - Otworzył tylne drzwi land - rovera. - Jestem dobrze wyposażony, a licho wie, co może nam się tam przydać.

- Czym wybijemy szybę w oknie? - Jane znalazła zestaw do podawania tlenu i duże koce.

- Łyżką do opon. - Riley chwycił leżącą na tylnym siedzeniu torbę lekarską i wełniany sweter. - Gdzie są te cholerne czujniki dymu? - spytał złym głosem.

- Chyba jest tylko jeden, w kuchni - wysapała Jane, biegnąc obok niego. - A dym wydobywa się z okolic sypialni.

- Cofnij się. - Owinął sobie rękę swetrem i wytknął szybę łyżką do opon. Potem odrzucił łyżkę, podciągnął się na rękach, wsunął przez wybite okno i zniknął Jane z oczu. Po chwili otwierał już od środka drzwi frontowe.

- Zostań na dworze, Jane! - krzyknął. - Poradzę sobie!

- Riley! - zaprotestowała. - Pozwól, że ci pomogę!

- Najrozsądniej będzie, jeśli zaczekasz na dworze i udzielisz pierwszej pomocy ewentualnym ofiarom. Zaufaj mi, wiem, co robię.

Jane przycisnęła dłonie do piersi, a Riley, zakrywając sobie swetrem usta i nos, ruszył w głąb domu korytarzem prowadzącym do sypialni.

Wrócił po chwili z małym zawiniątkiem na rękach.

- Boże! To Tamika. - Jane odebrała od niego dziecko. - Kto mógł to zrobić?

- Tam jest jeszcze jedno - wychrypiał Riley i zaniósł się kaszlem.

- Uważaj na siebie! - zawołała bliska paniki, patrząc na znikającego w kłębach dymu męża.

I nagle z wnętrza domu dobiegł przeraźliwy krzyk. Jane zimny dreszcz przeszedł po plecach, zaschło jej w ustach. Julia? Na pewno.

Jane miała się już rzucić na pomoc młodej matce, kiedy z drzwi wypadł skulony, przygarbiony Riley z drugim dzieckiem na rękach. Holował za sobą obejmującą go w pasie Julię.

- Został tam ktoś jeszcze? - Ostry ton Rileya otrzeźwił trochę dziewczynę.

- Nie - wycharczała, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami. - Byliśmy tylko my.

- Marianne wyszła? - Jane zarzuciła koc na ramiona roztrzęsionej dziewczyny.

- Ch... chciała zostać. - Julia zaczęła szczekać zębami. - Ale powiedziałam, żeby się nami nie przejmowała. Skąd mogłam wiedzieć? On zabił moje dzieci. - Zaszlochała.

Mały Brandon poruszył się i zakaszłał.

- Nie sądzę. - Riley podniósł głos, żeby jego słowa dotarły do wpadającej w histerię dziewczyny. - Masz mądrego synka. Położył się na podłodze, gdzie dymu było mniej. Ty go tego nauczyłaś?

Julia zakryła dłonią usta i pokręciła głową.

- Oglądaliśmy kiedyś w telewizji film o pożarze. Pewnie z niego to zapamiętał.

- Usiądź tu sobie. - Riley podprowadził młodą matkę do ogrodowej ławki. - Oddychaj teraz głęboko. Wszystko będzie dobrze. My z Jane zajmujemy się twoimi dziećmi, rozumiesz?

Wrócił do pochylonej nad dziewczynką Jane i przykucnął obok.

- Jak ma na imię? - zapytał.

- Tamika. Niedawno skończyła dwa latka.

- Sukinsyn - warknął pod nosem. - Mam nadzieję, że dadzą mu za to karę śmierci.

Jane zacisnęła usta. On z góry zakładał, że podpalaczem jest były chłopak Julii.

- Riley, nie ma pewności, że to nie był wypadek.

- Och, jest, jest. - Riley szukał u dziecka oznak życia. - Na tapczanie leżał kłębek tłących się ubrań. Męskich ubrań - dodał z naciskiem. - Ogień zaczynał już obejmować sypialnię dzieci. Stąd ten dym.

Jane była wstrząśnięta.

- To straszne. - Pochyliła się znowu nad małą. - Jest wciąż nieprzytomna i ma poparzone rączki.

- Na szczęście tętno jest wyraźne, a oddech miarowy. Podłącz jej kroplówkę, zanim wejdzie w szok.

Jane drżącymi ze zdenerwowania rękami wyciągnęła z torby butelkę z płynem fizjologicznym.

- Wolałabym, żebyś ty to zrobił. Riley zacisnął usta.

- Dobrze. Poświeć mi latarką, żebym widział żyłę.

Riley wprawnie podłączył kroplówkę.

- No, maleńka, załatwione - rzekł cicho, odgarniając palcem serdecznym kosmyk włosów z czoła Tarniki. Spojrzał na

Jane. - Sprawdzałaś, czy nie nawdychała się dymu?

- Jamę ustną ma czystą. - Jane obawiała się, że znajdzie w buzi dziewczynki ślady sadzy, ale dzięki Bogu nie było ich tam. - Wyniosłeś ją w ostatniej chwili.

- Chyba tak. - Riley ponownie przyłożył stetoskop do piersi dziewczynki. - Kuca w porządku. Dobrze by było owinąć jej dłonie wilgotnymi ręcznikami.

- Marianne zostawiła mi klucz do swojego mieszkania. - Julia dochodziła pomału do siebie. - Poszukam u niej. - Oddaliła się biegiem.

Jane podeszła do Brandona. Chłopiec miał szeroko otwarte oczy, tulił do siebie pluszowego misia.

- Jamę ustną ma czystą - powiedziała cicho do Rileya. - Ale na wszelki wypadek podam mu tlen.

- Dobrze. - Riley nasłuchiwał. - Co z tą karetką?

- To piątkowy wieczór - przypomniała mu Jane.

- Co jeszcze nie znaczy, że mają go spędzać w pubie. - Riley wstał, wziął się pod boki i przymrużył oczy. - No, nareszcie! - Odetchnął z ulgą, kiedy z oddali dobiegło wycie syreny. - Nadciąga kawaleria.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Przynajmniej dzisiaj będą bezpieczni. - Jane odprowadzała wzrokiem karetkę zabierającą Julię i jej dzieci do szpitala. Strażacy dogaszali pożar, policja spisywała protokół, ofiarami zajęli się zawodowcy.

- Mmmm. - Riley spojrział w niebo. Dym przesłaniał gwiazdy. - Policja podejrzewa, że to było podpalenie. Ale żeby mogli wszcząć dochodzenie, Julia będzie musiała złożyć doniesienie na tego śmiecia, z którym żyła.

- Zrobi to?

- Raczej nie. - Riley potarł dłonią szczękę. - Ale im szybciej się na to zdecyduje, tym szybciej będą mogli się nim zająć.

Jane przygryzła wargi.

- Ciekawe, jak ich odnalazł. Bo to pewnie jego sprawka.

- Bez wątpienia. Wśród szczątków ubrań, których użyto do wzniesienia ognia, Julia rozpoznała sprzączkę od jego paska. Policja podejrzewa, że dostał się do środka przez wentylator w sali zabaw dla dzieci. Julia potwierdziła, że jest wystarczająco chudy, żeby się tamtędy przecisnąć.

Jane była wstrząśnięta chłodną kalkulacją podpalacza.

- To przerażające, prawda? - Pokręciła z niedowierzaniem głową, zamykając torbę lekarską. - Marianne jest zszokowana. Nie może sobie darować, że zostawiła ich samych. Ma nadzieję, że komitet szybko zgromadzi fundusze na remont. Na razie znajdzie Julii i dzieciom inne lokum.

Było już po północy, kiedy znaleźli się w domku Jane.

- Herbaty? - spytała, podstawiając pod kran elektryczny czajnik.

- A masz coś mocniejszego?

Obejrzała się na męża. Był umazany sadzą, nieogolony, ale nigdy nie wydawał jej się cudowniejszy...

Wyjęła z kredensu butelkę szkockiej i napełniła dwie szklaneczki.

- Chcesz lodu? - Zerknęła na niego pytająco.

- Tylko odrobinę wody. Nie boisz się zostać tu sama na noc? - zapytał, odbierając od niej drinka.

Jane zamrugwała.

- Ten facet... nie łączy mnie chyba z Julią?

Riley upił łyk szkockiej i spojrzał na nią z namysłem.

- Jeśli się czegoś naćpał, to jest nieprzewidywalny. Mimo wszystko zdołał przecież odnaleźć Julię i dzieci, prawda?

Jane pobladła.

- Policja na pewno szybko go złapie? Mam rację...? Riley wzruszył ramionami.

- Miejmy nadzieję. - Dopił drinka i odstawił szklanę do zlewu. - Cuchnę dymem - mruknął. - Jeśli pozwolisz, wrócę już do siebie i wskoczę pod prysznic. To znaczy, jeśli jest ciepła woda. Bo z tym ostatnio różnie bywa. Chyba coś z rurami.

Jane przełknęła z trudem.

- Możesz opłukać się tutaj - powiedziała łamiącym się lekko głosem. - Mam jeszcze trochę twoich ubrań, džinsy, koszule. Zabrałam ze sobą...

- Jestem strasznie usmolony - mruknął z niepewną miną. - Zapaskudzę ci łazienkę.

- No to weź prysznic w pralni. - Jane unikała jego wzroku. - Sama tak robię po pracy w ogrodzie. Mydło tam znajdziesz, a ręcznik zaraz ci dam. - Otworzyła szafę z bielizną i wyjęła duży kąpielowy ręcznik oraz stary szlafrok Riley'a przetarty w paru miejscach i rozpruty na ramieniu. - Masz.

Na widok szlafroka Riley przymrużył oczy.

- Trzymasz go jeszcze?

Jane zarumieniła się i spuściła wzrok.

- Wieki całe nie miałem go na sobie - ciągnął. - Myślałem, że go już dawno wyrzuciłaś.

Oczywiście, że nie wyrzuciła. Ten granatowy szlafrok przypominał jej pierwsze upojne dni ich małżeństwa. I czasy, kiedy Riley krzątał się w nim rano po kuchni, przyrządzając śniadanie, które przynosił jej potem do łóżka.

- Jak widzisz, nie wyrzuciłam. Poszukam ci zaraz jakiegoś ubrania.

- No to ja idę pod ten prysznic. Obiecuję, że nie zużyję całej ciepłej wody. - Posłał jej niepewny uśmiezek.

- Nie ma obawy. Po nabyciu tego domu kazałam założyć nową instalację.

- Jesteś jak zawsze praktyczna, Janey.

- Któreś z nas musi. - Uraził ją kpiący ton w jego głosie. Rileyowi ledwie zauważalnie drgnęły usta.

- Ja nigdy nie grzeszyłem praktycznością, prawda? Wyciągnął rękę i grzbietem dłoni musnął jej policzek.

Kolana się pod nią ugięły. Opanowała się jedynie wysiłkiem woli.

- Na miłość boską - mruknęła - idź już pod ten prysznic.

- Dobrze, idę. Odświeżę się i jadę do siebie. I w tym momencie w Jane coś pękło.

- Riley... - zawahała się. - Zostań na noc.

Zauważyła, że te słowa zaskoczyły go tak samo jak ją. Odwrócił się, wziął ją za ramiona i zsunął powoli dłonie do jej nadgarstków.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? - spytał cicho.

- Tak...

- Och, Janey... - Głos miał schrypnięty. Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Nie przerywając pocałunku, z cichym pomrukiem zagłębił dłonie w jej włosach. Wtuliła się w niego całym ciałem.

Kiedy w końcu uniósł głowę, nogi miała jak z waty, a serce waliło jej jak młotem.

- Kochanie - wyszeptała i spojrzała mu w oczy - pozwól, że ja pierwsza wezmę prysznic.

Usiłowała się skoncentrować. Wstała wcześniej i nie budząc Rileyę, uzbrojona w szklanekę soku pomarańczowego, wyszła popracować w ogrodzie.

Czy dobrze zrobiła, prosząc go, żeby został?

Westchnęła. Zamiast przeprowadzić ze sobą poważną rozmowę, dali dojść do głosu cielesnym żądom. Ale co się stało, to się nie odstanie.

Podniosła się z klęczek i dźwignęła plastikowe wiaderko z wyrwanymi chwastami, żeby wyrzucić je na śmietnik. Poranne słońce mocno już przygrzewało. Drzewa rzucały na trawnik długie cienie. Jane otarła grzbietem dłoni spocone czoło, w głowie huczało jej echo słów wypowiedzianych tej nocy w łóżku przez Rileyę; „Nie do wiary, że znowu jesteśmy razem, prawda?“. Nie odpowiedziała mu wtedy, chociaż wiedziała, że oczekuje od niej potwierdzenia. Gdyby to było takie proste...

- Trzeba mnie było obudzić.

Odwróciła się na pięcie. Dech jej zaparło, krtań się ścisnęła.

- Cześć - wykrztusiła. Riley szedł ku niej po zasłanym opadłymi liśćmi trawniku. Był w dżinsach i szarym podkoszulku, które dała mu wieczorem

- Czemu mnie nie obudziłaś? - Położył dłoń na jej ramieniu. W głowie miała mętlik.

- Tak smacznie spałeś... - wybąkała. Przymrużył oczy i wodził wzrokiem po jej twarzy.

- Dawniej nie miałaś takich obiekcji.

- Pora na śniadanie - zmieniła temat, uśmiechając się nieszczercze. - Nie wiem jak ty, ale ja konam z głodu. - Odwróciła się i pierwsza weszła do pralni. - Zjesz coś?

Riley zmieszał się. Nie zabrzmiało mu to jak zaproszenie. Wciskając dłonie w kieszenie spodni, wszedł za nią do pralni.

- Ja robię sobie jajecznicę na bekonie, a ty? - rzuciła przez ramię, szorując z zapałem umazane w ziemi dłonie pod bieżącą wodą.

- Dzięki. Jeśli o mnie chodzi, to nic na gorąco. - Zdjął z wieszaka ręcznik i podał go jej. - Zadowolę się jakimś sokiem i kawą. Mogą być jeszcze płatki, jeśli masz takie na składzie.

- Nie myślałam, że usłyszę kiedyś od ciebie, że nie chcesz śniadania na gorąco.

Zacisnął szczęki.

- A ja nie myślałem, że będziemy dzisiaj rano chodzili wokół siebie jak po rozżarzonych węglach.

Jane otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zamknęła je zaraz i odwróciła wzrok. Wytarła ręce i przeszła do kuchni. Nerwowymi ruchami nalała do szklanek sok pomarańczowy i postawiła na stole miseczki z owocami i z płatkami śniadaniowymi.

- Mógłbym do tego przywyknąć. - Riley starał się bardzo nadać swemu głosowi normalny ton.

- Ciekawe, czy mówią coś w radiu o wczorajszym pożarze - zmieniła szybko temat Jane. - Powinniśmy zadzwonić do szpitala i zapytać, jak czują się Julia i dzieci.

Riley patrzył na nią ze smutkiem w oczach.

- Już to zrobiłem. Julię i Brandona mogą wypisać choćby dzisiaj. Gorzej z Tamiką. Skontaktowali się z oddziałem poparzeń szpitala w Brisbane. Lekarz dyżurny ma nadzieję, że nie będzie jej trzeba tam przewozić.

- Julia byłaby spokojniejsza. Zamilkli na chwilę.

- Czy mogę wiedzieć, na czym stoimy, Jane? - zapytał cicho Riley.

Wzięła głęboki oddech.

- Uważam, Riley, że na tym etapie nie powinniśmy wywierać na siebie presji w jakiegokolwiek sprawie, a zwłaszcza w sprawie odnowienia naszego małżeństwa.

No, wyrzuciła to z siebie. Nie wiedziała tylko, dlaczego te słowa jej samej sprawiają przykrość. Riley zacisnęła usta.

- A ja się już cieszyłem, że między nami wszystko wróciło do normy. - Z precyzją chirurga pokroił na plasterki dojrzałego pomidora i przeniósł kilka na swój talerzyk.

Jane zarumieniła się i spuściła wzrok.

- Riley, zdaję sobie sprawę, że zależy ci na odbudowaniu naszego związku. Ale ja nadal nie mam pewności...

Zmarszczył czoło.

- Nie masz pewności, czego właściwie chcesz? Nie masz pewności, czy możesz mi zaufać?

Jane ścisnął się żołądek.

- Nie możemy zwolnić trochę tempa?

- I co to da? Albo chcesz ratować to małżeństwo, albo nie. Zastanawiam się czasami, czy nie wyniosłaś swoich lęków i niezdecydowania z dzieciństwa.

Jane zaśmiała się gorzko.

- O to powinieneś spytać moją matkę. Riley nachylił się do żony.

- Carol usprawiedliwia fakt, że w tamtych czasach nie było łatwo samotnie wychowywać dziecko. Nie było wtedy takich jak obecnie ulg podatkowych i zasiłków.

- Nie. - Jane twarz się ściągnęła. Za wyniki w nauce przyznano jej stypendium. Ale matki i to nie zadowoliło. Dalej narzekała na koszt wyższego wykształcenia. - Myślę, że ona byłaby ze mnie bardziej dumna, gdybym dała sobie spokój ze szkołą i podjęła pracę kasjerki w supermarkecie!

Odsunęła się z krzesłem od stołu i wstała, żeby wyjść. Ale Riley zastąpił jej drogę.

- Nie! Zostań. Musimy o tym porozmawiać. Tyle jesteś mi winna. - Chwycił ją za ramiona.

Próbowała mu się wyrwać, ale bezskutecznie.

- Co ty wyprawiasz, Riley?

- Na miłość boską... - Słowa z trudem przechodziły mu przez ściśnięte gardło. - Ja nigdy bym cię tak nie skrzywdził. Kocham cię.

Odruchowo objęła go i przytuliła się. Zetknęli się czołami.

- Kocham cię - wymruczał raz jeszcze, i zaczęli się całować.

Julia doszła już do siebie po dramatycznych wypadkach poprzedniego wieczoru. Była wykąpana, długie jasne włosy miała zaplecione w warkocz. Ucieszyła się na widok Jane i Rileya.

- Właśnie wyszła ode mnie Marianne - oznajmiła. - Przyniosła czyste ubrania dla nas wszystkich.

- O wiele lepiej wyglądasz. - Jane odsunęła jakieś czasopisma i przysiadła na łóżku, Riley stanął przy oknie.

- Złapali go, wiecie - poinformowała ich Julia. - Znaczą się, Clint.

- Gdzie go przyskrzynili? - spytał od okna Riley. Julia przełknęła z trudem.

- Próbował się włamać do apteki. Chyba szukał narkotyków. W każdym razie aresztowano go pod tym zarzutem, a sierżant powiedział mi, że po przebadaniu próbek DNA pobranych z miejsca pożaru będzie mu można udowodnić również podpalenie. Zabrali go do Brisbane. Do rozprawy ma pozostawać w areszcie...

- Pewnie ci ulżyło - powiedziała cicho Jane. - Teraz możesz wreszcie odetchnąć. Idzie ku lepszemu.

Julia pokiwała gorliwie głową.

- Tak, Marianne znalazła mi zastępczą kwaterę, ale jak tylko stanę na nogi, to chcę wynająć jakieś mieszkanie i podjąć pracę.

- Masz na to mnóstwo czasu, Julio. - Riley przyciągnął sobie do łóżka krzesło i usiadł. - Na razie jesteś potrzebna dzieciom. Wiele ostatnio przeszliście.

- Wiem. - Entuzjazm Julii nieco przygasł. - Ale czuję, że dobrze nam tu będzie. To ładne miasteczko i ludzie tu życzliwi. Chcę tutaj zostać, wychować tu dzieci.

- Małe miasteczko ma wiele plusów, jeśli chodzi o wychowywanie dzieci - przyznał Riley, rzucając Jane przelotne spojrzenie.

Jane zamrugła powiekami. To stwierdzenie padające z ust męża miało zapewne coś znaczyć.

- Stan Tarniki się poprawia. - Na wszelki wypadek zmieniła temat. - Byliśmy u niej przed chwilą i rozmawialiśmy z lekarzem, który ją prowadzi.

- Doktor Breen mówił mi, że oparzenia nie są tak głębokie, jak się z początku wydawało. - Julia ożywiła się i uśmiechnęła. - Podobno tworzą się już pęcherze, a to dobry znak.

- Skóra ma zadziwiające własności samolecznicze - wtrącił Riley.

Otworzyły się drzwi i weszła pielęgniarka, prowadząc za rączkę małego chłopca.

- Tego młodego kawalera nudzi nasza sala zabaw - oznajmiła z uśmiechem. - Chce do mamy.

- Och, Brandon, chodź tu, kochanie. - Julia wyciągnęła do malca rękę. - Nie chciałam wam robić dodatkowego kłopotu. - Spojrzała przepaszająco na pielęgniarkę. - Ale pani koleżanka sama zaproponowała, że zaprowadzi go do sali zabaw.

- I słusznie - odparła z uśmiechem Alison Palmer, pielęgniarka oddziałowa. - Mamy tam wspaniałą minikręgielnię, prawda, kolego?

Riley zachichotał.

- Jak ja dawno nie grałem w kręgle. Myślałem, że zostały już wyparte przez gry komputerowe.

- No to nie jest pan na bieżąco, doktorze Brennan. Kręgle wracają ostatnio do łask. - Alison zerknęła na zegarek. - O Boże, to już ta godzina?! Przepraszam państwa, ale obowiązki wzywają. Gdybyś czegoś potrzebowała, Julio, to krzycz.

- Dziękuję, siostrze. - Julia przygryzła wargi. - Jesteście dla mnie tacy mili.

- Gadanie. - Alison machnęła niecierpliwie ręką i wyszła.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Nie łudzili się już, że ich związek da się dłużej utrzymać w tajemnicy.

Jane wspominała miniony tydzień z mieszaniną rozrzewnienia i frustracji. Wszystko wskazywało na to, że Riley pogodził się już z faktem, że na jej odpowiedź przyjdzie mu jeszcze poczekać.

Nalegał jednak, by wyszli wreszcie z podziemia i zaczęli pokazywać się razem publicznie. W sobotni wieczór zabrał ją na kolację do jednego z pubów. Było cudownie. A wczoraj, ni z tego, ni z owego, zaproponował piknik nad rzeką. Przez cały dzień pływali w chłodnym nurcie i wylegiwali się na kocu rozłożonym pod wierzbami. Te dwa ostatnie dni były jak drugi miesiąc miodowy.

Z tym że po każdym z owych wypadów Riley nie próbował żadnych sztuczek i wracał kamie do swojego mieszkania nad przychodnią.

Jane otrząsnęła się z lekkiej depresji i poprosiła ostatniego z zapisanych do niej na ten dzień pacjentów.

- Dziś rano przysły wyniki twoich badań. - Uśmiechnęła się do siedzącej przed nią Anny Lewellen. - Są obiecujące. Poziom cholesterolu spadł z sześciu do trzech przecinek osiem. To duże osiągnięcie.

- Tym większe, że przy pierwszym badaniu wyszło mi jedenaście. - Anna zaśmiała się. - To jak, pani doktor, dalej mam brać większą dawkę tego leku?

Jane kiwnęła głową.

- Przy dawce czterdziestomiligramowej nie zaobserwowałaś żadnych efektów ubocznych, Anno?

- Nie, kochana. Czułam się normalnie. Ale dobrze wiedzieć, że te nowe tabletki skutkują.

- Ciśnienie krwi też jak trzeba. - Jane czytała z ekranu komputera dane dotyczące stanu zdrowia pacjentki. - Nadal spacerujesz?

- Co rano - przytaknęła Anna. - Wstaję o świcie i chodzę, dopóki nie zrobi się za gorąco. A ty, Jane? - Kobieta spojrzała na Jane pytająco. - Nie widuję cię ostatnio na spacerach.

Jane skrzywiła się.

- Trochę się w tym zaniedbałam. Ale również wstaję wcześniej i pracuję w ogrodzie.

- To też dobra gimnastyka - przyznała Anna. Zamilkła na chwilę, a potem wstała z krzesła i przewiesiła sobie torebkę przez ramię. - No to nie zabieram ci więcej czasu.

Jane wyłączyła komputer i odchyliła się na oparcie fotela. Anna była miłą starszą panią obdarzoną poczuciem humoru. Gdyby tak jej matka była taka...

- Susan wyjechała już do Stanów? - spytała.

- W zeszłym tygodniu. - Anna westchnęła. - Będzie mi jej bardzo brakowało, Jane. I tych dwóch berbeci, ma się rozumieć, Nathana i Ryana. Ale jej miejsce jest przecież przy mężu, prawda?

Jane nie wytrzymała jej przenikliwego spojrzenia. Odwróciła wzrok. Czy moje miejsce jest przy Rileyu? - pomyślała po raz nie wiadomo który.

- I gdzie będą teraz mieszkali?

- W Houston w Teksasie. Peter jest, jak wiesz, pilotem wojskowym. Skierowali go na szkolenie. Uczy się latać na jakichś nowych odrzutowcach, które sobie ostatnio sprawili.

- I co zamierzasz robić z wolnym czasem, skoro odpadła ci opieka nad wnukami? - zapytała ostrożnie Jane.

Anna fizycznie czuła się dobrze, ale rozłąka z rodziną mogła niekorzystnie wpłynąć na jej psychikę.

- Mam swoje Kółko Gospodyń Wiejskich - odparła. - No i kościół. Bez tego bym przepadła.

- Masz duży dom, prawda? - W głowie Jane zaczął dojrzewać pewien pomysł.

- I owszem. Aż za duży dla mnie samej, od kiedy zmarło się mojemu Lionelowi. Kiedy wpadali do mnie Susie i chłopcy, jakoś o tym nie myślałam. Ale w tym tygodniu... - Wargi lekko jej zadrżały. - Pusto się w nim zrobiło. Trzeba będzie przywyknąć. - Uśmiechnęła się i rozprostowała ramiona.

- Anno, mam dla ciebie pewną propozycję. Przemyśl ją sobie. - Jane złączyła czubkami palce i podparła nimi brodę. - A kiedy podejmiesz decyzję, daj mi znać, dobrze? - Dobierając starannie słowa, zaczęła opowiadać Annie o Julii i jej dzieciach.

- Ktoś ma jeszcze coś do dodania, zanim zamkniemy sklepik? - Ralph Mitchell powiódł wzrokiem po twarzach swoich współpracowników. Był piątkowy wieczór i tradycyjne zebranie personelu dobiegało końca.

- Ja. - Angelo rozluźnił krawat i splótł dłonie na karku.

- Czteroletnia dziewczynka, Emma Crossingham, dziwnie się zachowuje, a ja nie mogę znaleźć żadnej fizycznej tego przyczyny. Do tej pory nie sprawiała żadnych kłopotów. Od jakiegoś czasu jest kłębkim nerwów.

- Rodzice? - zapytała Jane.

- Bez zastrzeżeń. Zapatrzeni w nią jak w obrazek. Mama, Sandrine, pracuje w banku, tato jest budowlańcem. Są bezradni. Opiekunka z przedszkola również.

Riley podniósł głowę i przymrużył oczy.

- A konkretnie czym się to objawia? Angelo stukał długopisem w blat stołu.

- Bez powodu zalewa się łzami, chowa się po kątach, źle sypia.

- Miewa senne koszmary? - spytał Riley. Angelo kiwnął głową.

- Matka twierdzi, że tak. - Rozejrzał się. - Ma ktoś jakieś sugestie?

- Chciałbym ją zobaczyć, jeśli nie masz nic przeciwko temu - zaproponował Riley.

- Proszę bardzo - odparł Angelo. - Nie widzę przeszkód.

- Pracując w Afryce, stykałem się z przypadkami urazów psychicznych u dzieci. - Otworzył swój dziennik i przekartkował go. - Przełom może czasami spowodować jedno celne pytanie. Jutro rano mam dyżur w przychodni. Mógłbym ją zbadać, jeśli to możliwe. Im wcześniej rzecz wyjaśnimy, tym lepiej dla wszystkich zainteresowanych.

- Zgadzam się z tym w całej rozciągłości - powiedział Ralph, wstając. - Monica jeszcze nie wyszła. Poproszę ją, żeby skontaktowała się z rodzicami i dała ci znać, Riley.

- Dobrze. Dziękuję, Ralph.

Zebrani zaczęli wstawać od stołu i chować notatki. Pstrykały zatrzaski neseserów, zasuwały się z poświstem suwaki aktówek.

- A wy - zwrócił się Angelo do Rileya i Jane, wstawiając swój kubek do zlewu - zamiast kryć się każde w swojej norce, zjedlibyście może dzisiaj kolację ze mną i z Penny? - Błysnął w uśmiechu białymi zębami. - Pen miała ciężki tydzień w szpitalu i obiecała przygotować coś smacznego.

- Ja chętnie. - Riley zerknął na Jane.

Serce zabiło jej mocniej. Od wieków nie zapraszano ich nigdzie jako pary. Może czas to odnowić. Towarzyskie spotkanie z kolegą z pracy i jego żoną jest chyba najlepszą po temu okazją. Uśmiechnęła się do Angela, przyjmując propozycję.

- Tylko żadnych wieczorowych kreacji - zastrzegł Angelo, schylając się po torbę lekarską. - Ja występuję w stroju niezobowiązującym, a jemy na tarasie.

Po wyjściu Angela zapadło znaczące milczenie.

- Jedziemy tam razem czy osobno? - spytał Riley, przewiercając Jane wzrokiem.

- A co proponujesz? - odbiła piłeczkę.

- Moim zdaniem powinniśmy jechać razem. Zaszło jej w gardle. Wzięła głęboki oddech.

- Dobrze. O siódmej? Kiwnął głową.

- I nie denerwuj się tak, Jane - dodał, wzdychając. - Z mojej strony nic ci nie zagraża.

Wybrała szalową, jedwabną srebrnoszarą sukienkę, która pasowała do koloru jej oczu i sięgała niemal do kostek. Nałożyła lekki makijaż i wyszczotkowała do połysku włosy. Riley podjechał pod dom punktualnie.

- Cześć - powiedziała, otwierając mu drzwi. - Wejdz na minutkę. Zaraz będę gotowa.

- Ślicznie wyglądasz. - Oczy mu zabłyśły.

- Dziękuję. - Krew uderzyła jej do głowy. - Hm... zaczekasz chwilkę? Włączę tylko automatyczną sekretarkę.

- Pomyślałem sobie, że po drodze moglibyśmy wpaść po piwo - rzekł Riley, wycofując wóz z podjazdu.

- Czemu nie. — Jane posłała mu wymuszony uśmiech. - Miło z ich strony, że nas zaprosili.

- Wypadałoby się w najbliższym czasie zrewanżować - zauważył nieśmiało Riley.

- Tak... - Jane wzięła głęboki oddech. - Powiedziałam już o nas wszystkim.

Riley milczał przez chwilę.

- I jak zareagowali?

- Rozmaicie. Monica powiedziała, że już dawno się domyślała. A od Vicki usłyszałam, cytuję, „Masz szczęście, że trafił ci się taki smakowity kąsek”.

Riley wzruszył ramionami.

- A Trish?

- Skwitowała tę rewelację tym swoim enigmatycznym uśmiechem, który tak dobrze jej wychodzi.

Ich oczy spotkały się na ułamek sekundy.

- Jej mąż służy w marynarce wojennej - powiedział powoli Riley. - Tęskni za nim. Pewnie pomyślała, że jesteśmy parą idiotów, skoro boczymy się na siebie, zamiast żyć razem.

Resztę drogi milczeli.

Angelo Kouras i jego żona Penny Chou, używająca nadal swojego panieńskiego nazwiska, mieszkali na peryferiach Mt Pryde w starym, wzniesionym na szczycie wzgórza domu, który stopniowo remontowali.

- Jak widzicie, wykończyliśmy już taras na tyłach i kuchnię - objaśniał z dumą Angelo. - No i łazienkę. Ale tę pokażę wam później. - Uśmiechnął się. - Pen moczy się teraz pod natryskiem. Miała w szpitalu nagły przypadek i dopiero wróciła.

- Twoja żona jest tam anestezjologiem, tak? - Riley rozglądał się z zainteresowaniem po skąpo oświetlonym tarasie, z którego roztaczał się malowniczy widok na rozbuchaną dżunglę -

- Między innymi - odparł z przekąsem Angelo. - Szpital cierpi obecnie na braki kadrowe.

- Poznaliście się w pracy, jak my z Rileyem? - spytała Jane.

- Można tak powiedzieć. - Angelo uśmiechnął się. - No, czego się napijecie?

- Ja białego wina, dziękuję, Angelo.

Jane dotknęła palcem liścia dzikiej winorośli pnącej się bujnie po kratce. Jej purpurowe kwiatki zamknęły się po zachodzie słońca.

- Już się robi. A ty, Riley? Riley wzruszył ramionami.

- Dla mnie może być piwo.

- To otworzę dwa z tych zimnych, które przywiozłeś, dobrze? Nie, zostańcie tutaj - dorzucił, widząc, że Riley chce wejść za nim do domu. - Wyniosę drinki tutaj. Za ładny mamy wieczór, żeby marnować go pod dachem.

- To prawda. - Riley podszedł do stojącej przy barierce Jane, otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. - Dobrze być znowu we dwoje, wśród przyjaciół... - Siła, z jaką to powiedział, przyprawiła Jane o gęsią skórę.

- Od tych cykad można ogłuchnąć, nie uważasz? - Penny zachichotała. Raczyły się z Jane drinkami, podczas gdy ich mężowie krzatali się przy barbecue w drugim końcu długiego tarasu.

- Tęsknisz za Sydney? - Jane sięgnęła po krakersa.

- Ani trochę. - Penny pokręciła głową. - Brakuje mi czasem rodziny, ale jest mi tu dobrze. Z tym, że wszędzie, gdzie byłam z Angelem, czułam się dobrze. Cieszysz się pewnie z powrotu Riley'a. - Spojrzała na Jane, unosząc brwi. - Założę się, że nadrabiacie teraz stracony czas.

Jane uśmiechnęła się niewyraźnie i bąknęła coś pod nosem. Widocznie Angelo nie powiedział żonie, w jakim stanie znajduje się ich związek. Mocniej zacisnęła palce na kieliszku. Jak długo jeszcze to wytrzymają? Są małżeństwem, a jakby nim nie byli.

Angelo zawołał z drugiego końca tarasu, że kolacja gotowa, i zaprosił wszystkich do zajęcia miejsc przy stole. Kiedy usiedli, Riley pierwszy wziął z półmiska kawałek smażonej ryby.

- Wygląda i pachnie smakowicie - oświadczyła Jane.

- Jest naprawdę fantastyczna - potwierdził Riley, spoglądając z uśmiechem na żonę. - Angelo, czuję tu czosnek i coś jeszcze, tylko nie wiem co. Jakich przypraw dodałeś?

- Imbiru i kolendry - wyjął z dumą Angelo. - Świeżych, ma się rozumieć.

- Powtarzam mu zawsze, że mógłby rzucić medycynę i otworzyć restaurację - powiedziała ze śmiechem Penny. - Przepyszne, kochanie. Naprawdę.

Angelo uśmiechnął się skromnie.

Kiedy zaspokoił głód i na stół wjechała kawa, Angelo zwrócił się do Riley'a:

- No i jak ci się podoba prowincjonalne życie, Riley? Zamierzasz tu zostać?

- Jak dotąd się nie uskarżam - odparł Riley, unosząc do ust filiżankę. - To sielanka w porównaniu z tym, na co się napatrzyłem przez ostatni rok.

- Miałam przyjaciółkę, która podpisała kontrakt z Lekarzami bez Granic - wtrąciła Penny. - Wytrzymała zaledwie trzy miesiące. Mówiła po powrocie, że to piekło.

- Tak, to nie jest praca dla każdego. - Riley odchylił się na oparcie krzesła. - Ale od początku wiedziałem, że nie będzie lekko.

- Teraz to sobie odbijasz? - spytała ze znaczącym uśmiechem Penny.

- Powiedzmy. - Riley zerknął przelotnie na Jane.

W drodze powrotnej gawędzili o wszystkim i o niczym - o przyjęciu, o gospodarzach, o tym, jaka dobrana z nich para.

- No i jak my przy nich wypadamy? - mruknął w pewnej chwili Riley.

- Chyba nieźle. - Jane zjeżyła się.

- Nieźle, powiadasz? - powtórzył za nią.

- A co chciałeś usłyszeć? Nie wyglądamy przecież na kochającą się parę.

- A czyja to wina?

- Pewnie moja - westchnęła Jane. A po chwili dodała: - Ja naprawdę chcę, żeby to się zmieniło, Riley...

- Wiem, że chcesz, Janey. Ale czy robisz coś w tym kierunku?

Skrećili w podjazd przed domem Jane. Riley zgasił silnik. Jane odpięła szybko pas bezpieczeństwa.

- Wejdiesz? - spytała nieswoim głosem.

Nie odpowiedział. Przeczesał palcami włosy i oparł się łokciami o kierownicę.

- Już mnie nie kochasz, Jane?

Zamrugła zaskoczona. Z trudem wytrzymała jego spojrzenie.

- Gdyby tak było, powiedziałabym ci. Umawialiśmy się przecież.

- Przez ostami tydzień wyraźnie mnie unikałaś - zauważył z urazą w głosie.

- Czekałam, aż ty zrobisz pierwszy ruch. Myślałam... - Co?

Splotła dłonie na kolanach.

- Trudno mi... mam wrażenie, że wszystko spoczywa na mnie.

- Chcesz, żebym przejął inicjatywę? Jane pokręciła głową.

- Nigdy jeszcze nie znajdowałam się w takiej sytuacji. To trudne.

Riley westchnął głęboko.

- Zachowujesz się tak, jakbyś się spodziewała, że wszystko zostanie ci podane na tacy, Jane. W życiu tak się nie zdarza.

Ubodło ją to.

- Wciąż nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo zraniłeś mnie i zaszкодziłeś naszemu małżeństwu swoim postępowaniem, Riley.

- Diabła tam, nie zdaję. Dzień po dniu borykam się ze skutkami. A ty robisz dwa kroki w przód, a potem trzy do tyłu.

- Podniósł głos. - Karzesz mnie, Jane.

Czy naprawdę go karała? Zrobiło jej się słabo. Uniosła nerwowym ruchem ręce i odgarnęła sobie włosy za uszy.

- Jeśli odniosłeś takie wrażenie, to przepraszam.

- Boisz się okazać mi znowu miłość?

- Boję się, że znowu zostanę zraniona - wykrztusiła. Riley skrzywił się.

- Jeśli chcemy przerwać to błędne koło, musimy od czegoś zacząć.

- Wiem. - Przeszedł ją dreszcz. - To może... - Urwała i oblizwała usta. - Chcesz zostać u mnie na noc?

Spojrzeli sobie w oczy.

- Podejrzewam, że to ostatnia rzecz, jakiej dzisiaj pragniesz - mruknął Riley i odchylił głowę na oparcie fotela. - Jesteś zmęczona. To był pracowity tydzień. A poza tym muszę trochę poczytać na temat przypadku tej pacjentki Angela, którą mam jutro zbadać.

- Tej dziewczynki?

- Mhm. - Odwrócił się do niej, pochylił i dotknął czołem jej czoła. - Odprowadzę cię do progu i tam się pożegnamy.

Kiedy odjechał, Jane zamknęła drzwi i oparła się o nie. Była wyczerpana i smutna.

W sobotni poranek Jane zatrzymała się przed drzwiami gabinetu Riley'a, zebrała się w sobie i zapukała.

- Otwarte.

- Dzień dobry. - Wsunęła do środka głowę.

Riley podniósł wzrok i uśmiechnął się z przymusem. Twarz miał ściągniętą, wydał jej się zmęczony.

- Jane...

- Gdyby coś, to jestem u siebie. Mam trochę zaległej roboty papierkowej.

- Aha... dobrze.

Zabrał się do porządkowania biurka. Mimowolnie spojrzęła na jego dłonie. Były silne, zwinne, o długich palcach...

- Zrobić ci kawę? Ściągnął brwi.

- Nie, dziękuję. Piłem już.

Jane wycofała się do swojego gabinetu. Była na siebie zła. Po co, u licha, przyszła dzisiaj do pracy? Bo z jakiegoś niewyjaśnionego powodu pragnęła być blisko niego.

Po dwóch godzinach skończyła, co miała do zrobienia. Ciekawe, czy Riley już wyszedł? W sobotni ranek ograniczali zazwyczaj przyjęcia pacjentów do niezbędnego minimum, ale czasami zdarzało się, że zgłaszało się ich sporo.

Odchyliła się na oparcie fotela i przeciągnęła. Pora na herbatę. Wstała, podeszła do okna i wyjrzała na trawnik przed budynkiem przychodni.

Wciągnęła w nozdrza odurzający zapach eukaliptusa i dymu z palonego gdzieś ogniska. Przymknęła na moment oczy.

Drgnęła, kiedy ktoś energicznie zapukał do drzwi. Wszedł Riley.

- Jesteś mi potrzebna - powiedział.

- Och. - Jane zarumieniła się i przełknęła z trudem.

- Nie w tym sensie. - Wychwyciła w jego głosie kpinę. - Jest właśnie u mnie Emma Crossingham. - Podeszedł do biurka i przysiadł na krawędzi.

Jane szybko pozbierała myśli.

- I co stwierdziłeś? Machnął ręką.

- Trochę to naciągane, ale mam pewne podejrzenia.

- W czym mogę ci pomóc?

- Vicki wyszła na pocztę. Czy mogłabyś zająć się Emmą, żebym mógł porozmawiać w cztery oczy z jej matką?

- Nie ma sprawy. Już idę. Wezmę tylko pudło z zabawkami. - Kiedy zmierzali do drzwi, dotknęła jego rękawa.
- Nie śpiesz się. Zabawię ją.

- Przepraszam, że mąż nie przyszedł. - Zostawiwszy córeczkę pod opieką Jane, Sandrine Crossingham wróciła do gabinetu Riley'a. - Wiem, że chciał pan widzieć nas oboje.

- Siła wyższa. - Riley rozłożył ręce, - Jest budowlańcem, o ile mi wiadomo?

- Tak, pracuje przy budowie tego nowego kompleksu sklepów po tamtej stronie ulicy. - Sandrine wykonała ręką nieokreślony gest w kierunku okna. - W jednym ma się podobno mieścić supermarket. Będziecie mieli wygodę, kiedy go otworzą. Przepraszam. - Przygryzła wargę. - Za dużo mówię.

Riley przekrzywił głowę, odczekał kilka sekund i powiedział:

- Zgadza się z doktorem Kourasem. Fizycznie Emma jest zupełnie zdrowa. Przyczyny jej dziwnego zachowania trzeba szukać gdzie indziej.

W oczach Sandrine pojawił się niepokój.

- Wiem. Mówi, że czegoś się boi, ale nie chce albo nie potrafi nam powiedzieć, czego.

- To małe dziecko, pani Crossingham - zauważył Riley.

- Niemożliwe, żeby coś z rozmysłem ukrywała. Prawdopodobnie sama nie wie, skąd biorą się jej lęki. Czy w ostatnim czasie nie wydarzyło się coś, co mogło ją wytrącić z równowagi, zachwiać jej światem? Cokolwiek?

Sandrine pokręciła głową.

- Nic takiego sobie nie przypominam. Mogę tylko powiedzieć, że to się zaczęło, od kiedy Robert zaczął późno wracać z pracy. Muszę zwalniać się z banku, żeby z nią być. A na dodatek musieliśmy pozbyć się psa.

Riley nastawił ucha. Coś mu zaświtało.

- Kiedy to się stało? I dlaczego było konieczne? Sandrine zastanowiła się.

- Jakieś sześć tygodni temu. A dlaczego? Bo Prince, tak się wabił, zaczął gryźć ludzi, do których wcześniej odnosił się przyjaźnie. Kiedy ugryzł dziecko sąsiadów - spuściła wzrok

- zwróciliśmy się do Towarzystwa Ochrony Zwierząt. Powiedziano nam, że możemy nie dać sobie z nim rady. Zabrali go, kiedy Emma była w przedszkolu.

Riley potarł dłonią szczękę. To by pasowało.

- Czy kłopoty z córką zaczęły się mniej więcej w tym czasie, kiedy pies znikł z państwa domu?

Po chwili zastanowienia Sandrine spojrzała z przestraszeniem na Riley'a.

- Boże. - Uniosła rękę do ust. - Myśli pan, że ona za nim tęskni, doktorze Brennan?

- Całkiem możliwe - przyznał łagodnie Riley. - Musicie państwo z nią porozmawiać. Prince był dla niej zapewne kimś ważnym, członkiem rodziny. Małe dzieci na równi traktują ludzi i zwierzęta. Kochała go, a on nagle zniknął. Zabrano go, kiedy była w przedszkolu, jak sama pani powiedziała, nie miała więc nawet okazji się z nim pożegnać. Może zadreć się, że Prince też za nią tęskni...

- Ojej... - Sandrine oczy zaszyły łzami. Otarta je grzbietem dłoni. - Biedny aniołek. - Przełknęła z trudem. - Myślałam, że jej to wyjaśniliśmy. Okazuje się, że nie do końca.

Riley podsunął jej pudełko z chusteczkami.

- To na pewno da się naprawić. Może dobrze by było zainscenizować małą ceremonię, na przykład zasadzić jakąś roślinę na pamiątkę Prince'a. Najlepiej coś, co ma duże, kolorowe kwiaty. Dzieci takie lubią. - Uśmiechnął się. - Wie pani, o co mi chodzi.

- Tak, wiem. - Sandrine pociągnęła nosem. - Jak teraz o tym myślę, to chyba niezbyt zrećznie to z Robertem

rozegraliśmy. Na chybcika. Sprawiliśmy przykrość naszemu dziecku. - Odetchnęła głęboko i spojrzała Rileyowi w oczy. - Dziękuję za tę podpowiedź, doktorze Brennan. Ma pan dzieci?

- Nie, jeszcze nie mam. - Wzruszył ramionami, a potem dodał: - Może kiedyś... - Krtań mu się ścisnęła. Ogarnęło go dziwne uczucie. Czyżby był to ów pęd do prokreacji, do którego usiłowała go przekonać Jane?

Wziął się w garść i potrząsnął głową. Czy mężczyźni są wyposażeni w zegar biologiczny? Jeśli tak, to ten jego zaczynał właśnie tykać jak bomba zegarowa.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Gdzież ten genialny lekarz?

Riley podniósł wzrok i odłożył długopis.

- To dla mnie ta herbata, doktor Rossiter? - spytał z uśmiechem.

Jane postawiła przed nim granatowy kubek.

- Ta młoda mama, która wyszła stąd przed chwilą cała w skowronkach, okrzyknęła cię geniuszem.

- Przesada. - Riley uniósł kubek do ust i spojrzał na żonę sponad jego krawędzi. - Po prostu w wolnych chwilach podczytuję sobie o dziecięcej psychologii w Internecie - wyznał ze skromnym uśmieszkiem.

- A to od kiedy? Wzruszył ramionami.

- Od jakiegoś czasu.

- Zdziwiasz mnie - mruknęła.

- A co, myślałaś pewnie, że przebimbałem sobie ten ostatni rok, prawda? - spytał, spoglądając na nią spod przymkniętych powiek.

- Ty wciąż do czegoś dążysz, Riley - przyznała. - Emma była twoją ostatnią pacjentką?

- Tak. - Riley uniósł ręce nad głowę i przeciągnął się. Jane upiła łyk herbaty i zaciskając palce na kubku, zapytała:

- Masz jakieś plany na dzisiejsze popołudnie?

W oczach Rileya pojawiła się czujność.

- Czemu cię to interesuje? - spytał ostrożnie.

- Chciałam cię poznać z Mayettą i Brynem Lloydami. Prowadzą farmę dwadzieścia kilometrów za miastem. - Jane odchyliła się na oparcie krzesła i spojrzała mu w oczy. - Mayetta jest moją pacjentką, ale czasem zdarza jej się zapomnieć o wizycie. Spodziewa się dziecka, a nie przyszła w tym tygodniu na kontrolę.

Riley uniósł brwi.

- Zawsze tak ścigasz swoje niezdyscyplinowane ciężarne pacjentki? Nachodzisz je w domach?

Jane parsknęła śmiechem.

- Naturalnie, że nie. Ale z Mayettą i Brynem bardzo się zaprzyjaźniłam. Doradzali mi, kiedy zakładałam swój ogródek ziołowy, i przypadliśmy sobie do serca, wiesz, jak to bywa...

Riley popatrzył na nią dziwnie.

- Dobrze, nie ma sprawy. - Uśmiechnął się. - A poczęstują nas lunchem?

Serce jej zatrzepotało. Zgodził się. A tak się bała, że odmówi, że ma już dosyć tego zabiegania o odbudowę ich małżeństwa. Wzięła głęboki oddech i odwzajemniła jego uśmiech.

- Istnieje taka szansa. - Wstała. - Zadzwoń do Mayetty i uprzedzę, że się do nich wybieramy.

Pojechali samochodem Riley'a.

- Opowiedz mi coś o nich - poprosił po drodze. - Są stąd?

- Nic podobnego. Bryn był profesorem historii na uniwersytecie w Melbourne. Pewnego dnia postanowili sprzedać wszystko i zacząć nowe życie w buszu.

- To się im chwali.

- Mayetta zajmuje się ilustrowaniem książek dla dzieci. A oprócz tego uprawiają zioła i mają już na nie stałych klientów.

- To ich pierwsze dziecko?

- Mhm. - Jane podświadomie splotła dłonie na brzuchu.

- I są w naszym wieku.

- Jesteś nieprzyzwoicie zdrowa, May. - Jane schowała stetoskop do torby lekarskiej.

- Przecież mówiłam. - Mayetta Lloyd uśmiechnęła się i opuściła obszerną koszulkę na pękaty brzuch. - Czuję się fantastycznie. Tylko czasem dostaję zgagi, a w nocy łapią mnie kurcze nóg - przyznała.

- Bierzesz wapno? - zapytała Jane, notując coś w karcie zdrowia, którą ze sobą przywiozła.

- Tak jest, pani doktor - zameldowała służbiście Mayetta.

- Jak również odpoczywam po południu i Ćwiczę. Zarezerwowałam też sobie miejsce w szpitalu. - Skrzywiła się.

- Chociaż wcale nie chcę tam rodzić, Jane.

- Dobrze wiesz, że tak będzie najlepiej i najbezpieczniej dla ciebie i dla dziecka. - Jane zatrzasnęła torbę.

- Chodziliśmy na zajęcia w szkole rodzenia - powiedziała błagalnym tonem Mayetta. - Jestem pewna, że potrafię bezpiecznie urodzić dziecko w domu.

- Nie wierć mi dziury w brzuchu, - Jane spojrzała na swoją pacjentkę z udaną srogością. - Zresztą Bryn chce, żebyś poszła do szpitala.

Mayetta wzniosła oczy do nieba.

- Przecież to nie on rodzi. - Mayetta usiadła na łóżku i spuściła nogi na podłogę. - Ale może tak rzeczywiście będzie lepiej. Bo on by pewnie zaraz zemdlał i zostawił mnie samej sobie.

Jane powstrzymała uśmiech, który cisnął jej się na usta. Przyjaciółka miała chyba rację. Bryn był uroczym mężczyzną, ale przerażało go trochę, że w wieku czterdziestu lat zostanie ojcem.

Od czasu, kiedy Mayetta zaszła w ciążę, przejął większość obowiązków domowych, włączając w to gotowanie, a aromaty rozchodzące się teraz po domu świadczyły, że na lunch będzie coś smacznego.

- Usiądźmy na chwilę. - Mayetta opadła niezgrabnie w wiklinowy fotel i wskazała Jane drugi. - Chcę z tobą porozmawiać.

Jane zawahała się.

- A mężczyźni?

- Sądząc po odgłosach i zapachach, nieźle sobie radzą. Jak układa ci się z Rileyem?

Jane spojrzała na Mayette, która stała się nie tylko jej przyjaciółką, ale i powierniczką.

- Obawiam się, że sytuacja jest patowa. Riley zapewnia, że mnie kocha i chce, żebyśmy się znowu zeszli. Wykazuje przy tym godną podziwu cierpliwość. Bo ja nie mogę się jakoś przełamać - przyznała.

- To znaczy, że nadal mieszkacie osobno? Jane wzruszyła ramionami.

- W zasadzie tak.

- O kurczę. - Mayetta potrząsnęła kasztanową głową. - Nie wygląda mi to najlepiej. Jesteś pewna, że nie komplikujesz zbytnio spraw? Bo przecież nadal go kochasz, prawda?

- Tak, Mayetto, oczywiście, że go Kocham. Do szaleństwa.

- No to mu to powiedz, a jeszcze lepiej, okaż. - May uśmiechnęła się znacząco.

Jane westchnęła.

- Łatwo powiedzieć.

- I zrobić. - W chabrowych oczach Mayetty pojawił się niepokój. - Chyba nie chcesz, żeby wasze małżeństwo definitywnie się rozleciało? To by było straszne.

- Nie, oczywiście, że tego nie chcę. Prawdę mówiąc, to...

- Jane rozłożyła ręce. - Obudziłam się dziś rano z silnym postanowieniem, że trzeba to wreszcie załatwić.

- Mam nadzieję, że ci jeszcze nie przeszło? Jane pokręciła głową.

- Ufam Rileyowi.

- To przestań się krygować i pozwól mu wreszcie wrócić do domu.

Posiłek upłynął w wesołej atmosferze. Riley i Jane rozpływali się w zachwytach nad kulinarnym kunsztem gospodarza. Szczupła, poważna twarz Bryna jaśniała dumą.

- To zasługa świeżych jarzyn, które sami uprawiamy - powiedział skromnie.

- Oczywiście dobrze jeszcze wiedzieć, co z nimi robić. - Riley uśmiechnął się do Jane. - Nasze jarzynowe lasagne nigdy tak nie smakowało, prawda?

- Może dlatego, że nigdy go nie przyrządzaliśmy - zauważyła z uśmiechem Jane, wyławiając listek letycji z misy z sałatką.

Riley stropił się.

- Ale przecież robiłaś coś takiego w niedzielne wieczory. Byłem przekonany, że to lasagne.

- To była zwyczajna zapiekanka.

- Kto chce herbaty? - zapytał obserwujący ich z rozbawieniem Bryn.

- Dziękuję, Bryn, może trochę później. - Jane wstała i zaczęła zbierać ze stołu talerze. - Najpierw chciałabym pobuszować po waszym ogrodzie ziołowym. Szukam czegoś na obolałe stopy.

- Bylica pospolita - zawyrokowała Mayetta. - Nazrywamy jej trochę i upchniemy ci do butów.

- Liści? - Jane spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- To zawsze pomaga. - Mayetta wyciągnęła rękę do męża.

- Pomóż mi wstać, kochanie.

Bryn przestąpił niepewnie z nogi na nogę.

- Nie powinnaś się na chwilę położyć?

- Czuję się świetnie - niktęła. - Pomóż mi się tylko wygrabić z tego przeklętego fotela. I nie rób takiej zbolalej miny

- ciągnęła, szczypiąc męża w policzek. - Gdyby coś, to mamy pod ręką dwoje lekarzy. Ale bez obawy - dorzuciła szybko.

Milczenie, jakie zaległo w drodze powrotnej, pierwsza przerwała Jane.

- Sympatycznie było, prawda? Riley spojrział na nią z uśmiechem.

- Owszem, bardzo. Dawno tak dobrze się nie bawiłem. Na kiedy Mayecie wypada termin?

- Rodzi w przyszłym miesiącu... jeśli donosi.

Jane udawała, że patrzy na krajobraz łagodnych zielonych wzgórz i pól uprawnych, ale zerkała co chwila na Rileya. Czy to odpowiedni moment, by mu powiedzieć, że go kocha? Że chce znowu z nim być? Teraz. Dzisiaj.

- Riley... - zaczęła w końcu.

- Mhm? - Spojrział na nią z roztargnieniem i zamrugał. - Przepraszam. Byłem myślami daleko stąd. Podrzucę cię tylko do domu i jadę do Brisbane.

- Do Brisbane? - Jane ściągnęła brwi. - Do rodziców? - A jeśli tak, to dlaczego bez niej?

- Do nich też przy okazji wpadnę. - Skręcił w jej uliczkę i zwolnił. - Ale tak w ogóle, to mam tam jutro spotkanie towarzyskie z zespołem, z którym byłem na Timorze. Wynajęli już apartament w Parkroyal. Przyjęcie przeciągnie się pewnie do późnej nocy, a więc chyba dopiero w poniedziałek o świcie ruszę w drogę powrotną do Mt Pryde.

Skręcił w podjazd Jane i zatrzymał wóz, ale silnika nie gasił.

- Przepraszam. - Uśmiechnął się niepewnie. - Chciałaś coś przed chwilą powiedzieć?

- Nie, nic takiego - skłamała i czym prędzej wysiadła z land - rovera. - Baw się dobrze.

- To do poniedziałku! - zawołał, wycofując auto z podjazdu.

Jane otworzyła powoli drzwi frontowe, weszła do środka i oparła się czołem o szybkę z matowego szkła. Ależ była idiotką, wyobrażając sobie, że będzie czekał, aż ona raczy się zdecydować. Przeciągnęła strunę. Czy to dziwne, że zamiast spędzać resztę weekendu ze strojącą fochy żoną, znalazł sobie lepszą rozrywkę?

Ta okrutna prawda powoli do niej docierała. Och, Riley...

W poniedziałek zjawiała się w pracy wcześniej niż zwykle. I gdyby ktoś ją spytał, dlaczego ubrała się jak spod igły, nie potrafiłaby odpowiedzieć. Wiedziała tylko, że czuje się bezbronna, zagubiona i zdołowana. Otworzyła drzwi swojego gabinetu i weszła do środka.

Postawiła torbę pod biurkiem, powiesiła na wieszaku zakiet od błękitnego, płóciennego kostiumu i powlokła się korytarzem do pokoju dla personelu.

Tę szklanekę soku pomarańczowego, którą wypiła w domu, trudno nazwać śniadaniem, pomyślała, napieniając i włączając ekspres do kawy. Ale tyle tylko był w stanie przyjąć jej żołądek. Nerwy miała napięte jak postronki.

Założyła ręce na piersi i podeszła do okna wychodzącego na wielobarwne klomby nagietków, stokrotek i donice z pnącym geranium. Wybiegła myślami do lata, które było już za progiem. I do dnia urodzin Riley'a...

- Czy ja tu weszę kawę? - zapytał wywołany z lasu wilk, wsuwając głowę do pokoju. - Zobaczyłem twój samochód. - Uśmiechnął się. - Co tak wcześnie?

- Powiedziałeś to tak, jakbym codziennie się spóźniała - odburknęła, oglądając się. Jej mąż był nieogolony, miał na sobie dzinsy i wymięty T - shirt. - Okropnie wyglądasz, Riley. Masz kaca?

- Też coś. - Opadł na krzesło i przeczesał palcami rozwichrzone włosy. - Nie wyjechałbym w drogę w stanie wskazującym na spożycie. - Przetarł pięściami oczy i przejechał dłonią po zarośniętej szczęce.

Jane rozlała kawę do kubków i podała mu jeden.

- Dzięki. Wracasz mi życie. - Upił kilka łyčzków i spojrzał na nią. - Aleś się wystroiła, Janey. Umówiłaś się z kimś na lunch? - zachichotał, najwyraźniej zachwycony swoim żarciem, wyciągnął przed siebie nogi i przytulił kubek z kawą do piersi.

Jane zacisnęła usta.

- Widzę, że przyjęcie się udało - skomentowała sucho, siadając z kawą przy stole.

- A żebyś wiedziała!

- Dużo was tam było? - spytała, choć właściwie mało ją to obchodziło.

Riley wzruszył ramionami.

- Z tuzin. Wpadło też kilka pielęgniarek z zespołu nigeryjskiego. Przegadaliśmy całą noc. Wynudziłabyś się jak mops.

- Dzięki - mruknęła z kamienną twarzą. - Dobrze wiedzieć, że uważasz mnie za osobę nietowarzystką, nie mówiąc już o innych wadach, jakie mi przypisujesz. - Wstała, zabrała ze stołu kubek ze swoją kawą i wyszła z pokoju.

Zamykając za sobą drzwi, usłyszała jeszcze, jak Riley wymrukuje pod nosem jakieś przekleństwo.

Gratulacje, Jane, pomyślała i łzy napłynęły jej do oczu. Popisowo to rozegrałaś. Co cię podkusiło, żeby tak na niego najechać? Bo celowo się ze mną droczył, a przecież wie, że tego nie cierpię, odpowiedziała sama sobie. No i z zazdrości, przyznała. Z zazdrości o czas, który wołał spędzić z dala ode mnie, chociaż przez cały ten weekend mogliśmy być razem.

Tylko skąd on, na litość boską, miał to wiedzieć? - podpowiedziało sumienie.

Ledwie zdążyła wziąć się w garść, kiedy do drzwi frontowych przychodził ktoś załomotał. Poderwała głowę, ścisnęło ją w dołku. Ktoś potrzebuje pomocy? Wybiegła na korytarz i nie tracąc czasu na zamykanie drzwi swojego gabinetu, pognała przed siebie. O mało nie zderzyła się z Rileyem, który wypadł z pokoju dla personelu.

- Zaczekaj! - zawołał ostrzegawczo, kiedy chciała już otworzyć drzwi. - Ja to załatwię. - Wsunął się przed nią. - Nie wiemy jeszcze, kto to.

Jane zrobiła wielkie oczy.

- To na pewno jakiś wypadek. Riley zacisnął szczęki.

- Po tym, co tu się ostatnio stało, ostrożności nigdy za wiele, chyba się ze mną zgodzisz? - Wyłączył instalację alarmową, odsunął rygle i uchylił drzwi. - Słucham?

Przed nimi, przestępując nerwowo z nogi na nogę, stał mężczyzna w szortach, koszuli khaki i ciężkich roboczych butach. Na widok Riley'a zebrał się w sobie.

- Jesteś lekarzem, kolego?

- Tak - mruknął Riley. - O co chodzi? Mężczyzna pokazał za siebie kciukiem.

- Jestem z tamtej budowy naprzeciwko. Jeden z chłopaków zleciał z rusztowania... rozharatał sobie rękę o hak wbity w ścianę. Wszędzie pełno krwi.

- Ty tam biegnij! - Jane wypchnęła Riley'a za drzwi. - Ja wrócę po torbę lekarską! - Ruszyła pędem do swojego gabinetu i porwała stojącą pod biurkiem torbę.

Czego jeszcze mogą potrzebować? Myślała gorączkowo. Wpadła do pokoju zabiegowego po zestaw pierwszej pomocy i koc i pobiegła do wyjścia, powtarzając sobie, że trzeba zamknąć drzwi frontowe. Tylko tego by brakowało, żeby do przychodni dostał się jakiś złodziej albo narkoman.

- Czy ktoś zadzwonił już po karetkę? - zwróciła się do grupy zaaferowanych robotników, znalazłszy się na miejscu wypadku.

- Ja. - Jeden z mężczyzn popukał palcem w przytroczony do pasa telefon komórkowy.

- Świetnie - mruknęła Jane i przyklękła obok pochylonego nad pacjentem Riley'a. - Co my tu mamy?

- Rozcięta dłoń. Bardzo cierpi. Przyniosłaś morfinę?

- Tak. - Jane, zaciskając mocno usta, podała mu narkotyk i środek przeciwko mdłościom. Biedak. Wzdrygnęła się wewnętrznie na widok płata zdartej z dłoni skóry. Tu nie obejdziesz się bez mikrochirurgii. I Bóg jeden wie, czy ten człowiek będzie mógł jeszcze kiedyś wrócić do pracy.

- Jasna cholera. - Robotnik był blady, pot lał się z niego strumieniami. - Boli jak diabli, panie doktorze...

- Wiem, stary. Trzymaj się. Zrobimy, co w naszej mocy. - Riley ze ściągniętą twarzą zaaplikował mu środek przeciwbólowy. - Kroplówka, Jane. Roztwór normalny.

Jane wprawnie podłączyła kroplówkę.

- Jak się nazywasz? - spytał Riley, sprawdzając, czy robotnik nie odniósł innych obrażeń.

- Rob... Rob Crossingham.

- Jesteś ojcem Emmy? Mężczyzna kiwnął jasną głową.

- To pan doszedł, co jest mojej córeczce?

- Tak. Jestem Riley Brennan. Rob spróbował się uśmiechnąć.

- Gdybym mógł, uścisnąłbym panu rękę...

- Przyjdzie jeszcze na to czas, jestem pewien. - Riley przyłożył stetoskop do piersi pacjenta. - Oddech w normie - mruknął do Jane.

Kiwnęła głową, zakładając nad raną opaskę uciskową.

- Pomożesz mi z temblakiem?

- Chyba najlepiej będzie, jeśli przeniesiecie teraz kolegę do przychodni - zwrócił się Riley do brygadzysty. - Tam zaczekamy na karetkę. I przypominam o sporządzeniu protokołu dla Urzędu Bezpieczeństwa i Higieny Pracy.

- Jasna sprawa - odparł brygadzysta. - Ale zupełnie nie rozumiem, jak to się mogło stać. Zawsze dbałem o bezpieczeństwo moich ludzi.

- Może to ten wczorajszy wiatr rozchwiał rusztowanie - podsunął ktoś. - Porządnie dmuchało.

- Albo jakieś łobuzy poluzowały mutry - odezwał się ktoś inny. - Już nigdzie nie jest bezpiecznie. Ani dla twojej żony, ani dla dzieciaków...

Jane zrobiło się nieswojo, kiedy przypomniała sobie niedawny pożar w schronisku dla kobiet.

- Bardzo dobra myśl - pochwalił Riley dwóch robotników, którzy wynieśli z magazynku nowe drzwi. We czterech położyli na nich ostrożnie Roba Crossinghama i ponieśli go do przychodni.

Personel medyczny był już w komplecie. Vicki zaczęła wypytywać o szczegóły wypadku. Monica skrzywiła się na widok zakrwawionej koszulki Rileya i schowała się w swoim gabinecie.

- Zadzwoń do szpitala i uprzedzę ich, że będą zaraz mieli pacjenta z wypadku - powiedziała Jane. - A ty, Trish, sprawdź jeszcze raz, czy karetka już wyjechała.

Wróciła do swojego gabinetu. Miała na ten rano pełną listę pacjentów. Przyjmowała ich, starając się nie myśleć o swoich problemach osobistych. Ostatnią na liście była Leanne Cawley.

- Miałam przyjść na kontrolę nosa, więc jestem. - Szorty khaki i niebieska koszula z logo sklepu ogrodniczego na kieszonce świadczyły, że przyszła prosto z pracy.

- Miewasz bóle głowy? - zapytała Jane, oglądając przy świetle nos Leanne.

- Niezbyt silne. Biorę paracetamol.

- Nos dobrze się goi. Jeszcze trochę to potrwa, ale obejdzie się bez operacji chirurgicznej. Dokucza ci?

- Z początku bolał, zwłaszcza kiedy musiałam go wydmuchać. - Leanne skrzywiła się. - Nie zdawałam sobie dotąd sprawy, że jest tyle powiedzonek z nosem.

Jane uśmiechnęła się.

- Wiem, o co ci chodzi. Na przykład, że ktoś ma nos do interesów?

- Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy, nie zadzieraj nosa, mam to w nosie, długo by tak można. - Leanne zaśmiała się radośnie. - Dziwne, prawda?

Jane spojrzała na Leanne.

- Cieszę się, że humor znowu ci dopisuje. Sprawy dobrze się układają?

Leanne uśmiechnęła się.

- Chyba tak. Simon wziął się w końcu za siebie. Parę dni temu przyszedł do domu na kolację...

- Wystąpiłaś o cofnięcie mu zakazu zbliżania się do was?

- Tak. Na razie jeszcze z nami nie mieszka, ale myślę, że to tylko kwestia czasu. Chodzi do psychologa i powoli wraca mu wiara w siebie. - Przygryzła wargi. - Gdyby jeszcze znalazł pracę...

Jane pokiwała głową.

- A czym on się właściwie zajmował?

- Pracował w banku. Ale zwolnili go w ramach redukcji zatrudnienia. A w Mt Pryde trudno o posadę w jego zawodzie.

- Wyobrażam sobie.

- No, nie będę zabierała więcej czasu. - Leanne wstała i przewiesiła sobie przez ramię torebkę. - Ale dziękuję, że mnie

wysłuchałaś. Jak się człowiek wygada, to lżej mu się robi na duszy.

- Życzę wam, żeby Simon znalazł pracę - powiedziała Jane, odprowadzając ją do drzwi.

Leanne uśmiechnęła się.

- Może zdarzy się jakiś cud. Nigdy nie wiadomo.

Jane wróciła za biurko i zamyśliła się. Niemożliwe, żeby nie było gdzieś pracy dla Simona Cawleya. Tylko gdzie jej szukać? Westchnęła z rezygnacją i spojrzała na zegarek. Pora iść na lunch.

Po drodze zajrzała do pokoju dla personelu. Przy stole siedzieli Ralph i Riley.

- Wychodzę do szpitala - oznajmiła.

- O, Jane. - Ralph spojrzał na nią sponad okularów. - Masz chwilę czasu? Wypij z nami herbatkę.

- Nie teraz, Ralph.

Zabrzmiało to jakoś szorstko. W oczach Ralpha pojawiło się zaniepokojenie.

- Wszystko w porządku?

Jane stropiła się. Do Ralpha nic nie miała. Po prostu chciała być teraz sama.

Przeniosła wzrok na Rileya. Był już ogolony i uczesany, przebrał się w czystą białą koszulkę z krótkimi rękawkami i jasne spodnie.

Serce zabiło jej mocniej. Dziwne. Bardziej podobał jej się rano, zmęczony po podróży i wymięty. Był wtedy taki asekowny.

Spotkały się ich spojrzenia.

- Dzwoniłem już do szpitala - powiedział. - Stan naszego pacjenta ustabilizował się. Po południu biorą go na stół operacyjny.

- To dobrze. - Jane uśmiechnęła się z przymusem, skinęła im ręką i wycofała się na korytarz.

W sobotę Riley nie miał już wątpliwości, że Jane z rozmysłem go unika.

Podszedł do okna i wyjrzał na dwór. Dzień był piękny. Jeśli chodzi o pogodę, weekend zapowiadał się wspaniale, pod innymi względami będzie to chyba spędzony w samotności i bezproduktywnie szmat czasu. Chyba że przedsięwzięcie jakieś kroki, które by to zmieniły.

Tak, ale jakie?

Usiadł przed laptopem i przez godzinę próbował pracować nad artykułem do specjalistycznego pisma, ale nie bardzo mu to szło. Nie mógł się skoncentrować. Do diabła. Z ciężkim westchnieniem wyłączył komputer. W takim nastroju nic sensownego nie napisze.

Jane obudziły ptasie trele. Usiadła na łóżku i wsłuchując się w nie, próbowała rozróżnić w tym chórze poszczególnych wykonawców. Czowała się dzisiaj lepiej, nie wiedzieć czemu była jakby spokojniejsza. Podniesiona tą myślą na duchu rażno wyskoczyła z łóżka.

Stojąc pod ciepłym natryskiem, zaczęła planować dzień. Greg Logan obiecał, że przyjdzie przystrzyc trawnik i pomóc jej w innych pracach ogrodowych. Mogła poprosić o to Riley, ale w tej chwili nie chciała nic od męża. Od ostatniego weekendu stosunki między nimi bardzo się popsuły.

Przyszędł Greg i od razu zabrali się do pracy. Po godzinie zrobili sobie przerwę na przekąskę.

- Mam przyciąć ten żywopłot przy ogrodzeniu, Jane? - wymamrotał piętnastolatek, przeżuując kęs kanapki z szynką.

Jane zawahała się.

- No dobrze, przytnij, ale uważaj na ciernie.

- Spokojna głowa. - Greg uśmiechnął się od ucha do ucha.

- To dla mnie bułka z masłem.

Matka Grega w soboty pracowała, a więc Jane zatrzymywała zawsze chłopca na lunch. W kuchence zostało trochę potrawki z kurczaka. Dogotuje do tego ryż i posiłek będzie gotowy.

Naciągnęła gumowe rękawice i wróciła do pielienia. Na krzakach dojrzewały już kiście wczesnych pomidorów. Zerwała kilka najczerwieńszych.

Pracując, myślała o sobie i Rileyu. Aktualna sytuacja wisiała nad nią niczym czarna gradowa chmura. Zerwała ostatniego pomidora i podniosła się z kucek. Zrobiła to zbyt gwałtownie i coś strzeliło jej w plecach. Ból był przeszywający.

- Auć! - wyrwało jej się, zanim zdążyła zacisnąć zęby.

- Musisz harować jak wyrobnik?

Odwróciła się na pięcie. Riley zbliżał się do niej, stąpając bezszelestnie po świeżo skoszonej trawie.

- Aleś mnie przestraszył. - Odruchowo wcisnęła mu w dłoń zerwane pomidory. - Nie spodziewałam się ciebie.

- Chyba nie muszę zapowiadać swoich wizyt własnej żonie? - Spochmurniał. - Gdzie je zanieść?

- Do pralni. - Jane ściągnęła rękawice i z walącym sercem weszła tam za nim. - O ile się nie mylę, masz dzisiaj dyżur pod telefonem?

- Wziąłem komórkę - mruknął.

- Przyszedłeś w jakimś konkretnym celu, Riley? - Jane oparła się o ścianę.

- Jakbyś zgadła. - Uśmiechnął się sardonicznie. - Mam po dziurki w nosie tych podchodów. Chcę wiedzieć, czy jesteśmy jeszcze małżeństwem, czy już nie.

- I to wszystko?! Cały ty.

- Uspokój się. - Głos mu złagodniał. - Nie przyszedłem się tu z tobą handryczyć. - Uniósł rękę i pogładził ją po

policzku. - Przez cały ten tydzień źle wyglądałaś. Lepiej się już czujesz?

- Co cię to... - Oblizwała wargi. - Tak. - Chciała mu się przemknąć pod ramieniem, ale ją zatrzymał. - Riley... - Głos się jej załamał.

- Wciąż nic nie rozumiem, Janey. O co ci chodzi? Odetchnęła głęboko i poczuła zapach jego wody po goleniu.

- Riley - zaczęła znowu - nie możemy...

- Pocałuj mnie - mruknął i przyciągnął ją do siebie.

Pod miękkim, odurzającym naciskiem jego warg Jane zawirowało w głowie. Wtuliła się w niego, zarzuciła mu ręce na szyję i zatraciła się w tym pocałunku.

Po chwili usta Riley'a oderwały się od jej warg i sunąc wolno po policzku dotarty w okolice ucha. Jej ciało zareagowało natychmiast.

- O, tak... - mruknął i znowu spotkały się ich usta.

- Nie, Riley! - Jane cofnęła się gwałtownie i rozejrzała.

- Co...? - wykrztusił półprzytomnie. - Co się stało?

- Nie jesteśmy sami. - Odetchnęła głęboko. - Greg Logan pomaga mi dzisiaj w ogrodzie.

- Nie wierzę - warknął Riley, wyciągając ją za rękę na zewnątrz. Greg wprowadzał właśnie spalinową kosiarkę do szopy na narzędzia.

- Szybko się uwinąłeś - zawołała do niego Jane, wygładzając na sobie koszulę. - Greg, to jest Riley Brennan, mój... eee... mąż.

- Miło mi cię poznać, Greg. - Riley, przyglądając się uważnie dziecinnej jeszcze twarzy chłopca, podał mu rękę.

- Cześć. - Greg uścisnął mu niepewnie dłoń.

- Pora na lunch - powiedziała Jane.

- Mogę się czuć zaproszony? - spytał Riley.

- Jak uważasz. Mam potrawkę z kurczaka. Muszę tylko dogotować trochę ryżu.

- Czy dla mnie mogłaby być sałatka? - Riley spojrział na nią pytająco. - Ryż przejadł mi się trochę na Timorze.

- Sympatyczny chłopak - stwierdził Riley, kiedy półtorej godziny później, po lunchu, Greg odjechał z zawrotną szybkością na swoim rowerze. - Wiesz, że się w tobie podkochuje?

- Nie opowiadaj bzdur! - ofuknęła go Jane. Riley spojrział na nią, unosząc wysoko brwi.

- Nie zauważyłaś?

Serce zabiło jej mocniej. Czyżby Riley mówił poważnie? Nie zauważyła, że jest obiektem sztubackiej miłości Grega? Greg, podobnie jak ona, był jedynym dzieckiem wychowywanym przez samotną matkę, i podobnie jak ona chciał coś w życiu osiągnąć. Zamierzał studiować medycynę. Pożyczyła mu nawet kilka podręczników.

- Dobrze - powiedziała krótko. - Jakoś to załatwię. Riley spojrział na zegarek.

- Jadę teraz do Harry'ego Jorgensona na lekcję orki. Zabierzesz się ze mną?

- Czy ja wiem... - Jane wzruszyła niezdecydowanie ramionami. - A zresztą! I tak nie mam nic innego do roboty. A tobie, jeśli spadniesz z traktora, lekarz może się przydać.

- Nie wierzysz we mnie, co? - Wziął ją pod brodę.

- Mam się przebrać? - Jane spojrzała krytycznie na swoją koszulę i džinsowe szorty.

- Dla Harry'ego? - Riley parsknął śmiechem. - Nie trzeba. Chodź. - Pociągnął ją do drzwi frontowych. - Strasznie się zapaliłem do tej nauki orki.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jechali w milczeniu. Jane nie dawała spokoju myśl, do czego mogło by dojść, gdyby tego ranka nie było u niej Grega? Zerknęła ukradkowo na Rileya, ale z jego miny trudno było cokolwiek wyczytać.

Oboje wiedzieli, że czas nagli. Ostatnio Riley zaczynał zdradzać objawy zniecierpliwienia. I trudno było się dziwić.

- Co miało znaczyć to westchnienie? - spytał, nie odrywając oczu od drogi.

- Nie twoje zmartwienie. Uśmiechnął się lekko.

- To dlaczego odnoszę wrażenie, że moje? Czegoś nie dokończyliśmy, Janey.

Czym prędzej odwróciła wzrok.

Riley skręcił w bramę posiadłości Jorgensona. Dalej ciągnął się bity trakt.

- Och, jaki piękny! - zawołała Jane, kiedy wspięli się na szczyt wzgórza i zobaczyli w dole długi, niski dom otoczony bujną roślinnością. - I wielki. - Wskazała na werandę okalającą cały budynek.

- A z tego, co wiem, Harry mieszka w nim tylko z żoną. - Riley zatrzymał land - rovera przed furtką prowadzącą do ogrodu. - Nie mają dzieci, które podtrzymałyby farmerską tradycję.

- Szkoda. - Jane zamyśliła się. - Nie będą mieli nic przeciwko temu, że z tobą przyjechałam, Riley?

Wzruszył ramionami.

- Nie sędzę. Ludzie żyjący na łonie natury słyną z gościnności. Znam to z doświadczenia. Wiem też, że tak zwana wiejska cisza to bajka. Oho, a oto i psy.

Popołudniową ciszę zmaćciło głośnie ujadanie dwóch czarnych bestii obwieszczających ich przybycie. Na ten alarm z domu wybiegli Harry i niska, pulchna kobieta, najprawdopodobniej jego żona.

Po prezentacji pani Jorgenson wzięła Jane za rękę i wprowadziła po schodkach na werandę.

- Dobrze mieć w okręgu kobietę lekarza, ale pani taka młoda!

- Taka znowu młoda to nie jestem, pani Jorgenson - odrzekła z rozbawieniem Jane. - Mam już trzydzieści trzy lata. Od dosyć dawna jestem lekarzem ogólnym.

- I słyszałam, że bardzo dobrym. - Kobieta uśmiechnęła się promiennie. - Aha, moja droga. - Tu poklepała Jane po dłoni. - Proszę mi mówić Stella.

- A ty mi Jane. Jesteśmy tu prywatnie.

- I co z tymi bólami pleców, Harry? - spytał Riley. Usiedli na werandzie w trzcinowych fotelach, Stella postawiła na stole dzbanek z lemoniadą domowej roboty.

- Ano... - zaczął farmer.

- Zawiozłam go w zeszłym tygodniu do miasta, panie doktorze - wtrąciła Stella, spoglądając znacząco na męża. - Strasznie stękał po nocach, więc zapisałam go na tę fizykoterapię, co mu pan zalecił. Teraz sypia o wiele lepiej, prawda, Harry?

Harry zdobył się na zboląły uśmiech.

- Skoro tak mówisz, duszko. No i plecy już mi tak nie dokuczają.

Riley wypił do dna swoją lemoniadę.

- Ale na to, że zwolni pan tempo pracy, nie ma co liczyć?

- spytał.

- Panie doktorze - obruszył się Harry. - Jestem farmerem, a nie tłustym kotem, co wyleguje się na słońcu. - Sięgnął po kapelusz leżący na sąsiednim fotelu. - No to na nas już chyba pora. Nauczę pana dzisiaj całkiem nowej umiejętności.

- Pojedziemy wszyscy. - Stella zakrzyknęła się, znalazła kapelusze dla Jane i Riley, wsiedli do jeepa i pojechali na pole, na którym Harry zamierzał uczyć Riley orki.

- Uważaj na siebie. - Jane nadal nie była przekonana do całego przedsięwzięcia. Harry doczepił już pług do traktora i ponaglił Rileya do zajęcia miejsca za kierownicą. - Daj mi swój telefon komórkowy - powiedziała Jane, wyciągając rękę w stronę męża.

- Dobra myśl. - Riley dotknął palcem czubka jej nosa.

- Nie przejmuj się tak, Janey. Pole jest płaskie jak stół. A ja naprawdę chcę się tego nauczyć. No, już dobrze?

- Chłopcy zawsze pozostaną chłopcami - mruknęła Jane, podchodząc do Stelli, która usadowiła się w cieniu płaczącej wierzby.

Po paru minutach Jane odprężyła się. Riley był pojętnym uczniem i chociaż z początku pozostawiał za sobą niezbyt równe bruzdy, to szybko złapał dryg i orał już jak doświadczony farmer.

Jane, ukołyszana senną atmosferą otoczenia i monotonnym graniem cykad, stłumiła ziewnięcie. Prawie jak w niebie, pomyślała.

- Pięknie tu, prawda? - zwróciła się do Stelli.

- Nie wyobrażam sobie, że mogłabym mieszkać gdzie indziej - odparta Stella. - Od czterdziestu lat uprawiamy z Harrym tę ziemię.

- Musicie czerpać z tego mnóstwo satysfakcji - mruknęła Jane, zapatrzona w strumień wijący się między wierzbami.

- Raz na wozie, raz po wozem. Długo jesteście po ślubie?

- Sześć lat. Ale przez ostatni rok Riley pracował za granicą.

- Nie pojechałaś z nim? - Nie.

I był to chyba mój największy błąd, pomyślała Jane. -

Po południu usiedli na werandzie.

- Praca na farmie zaostrza apetyt - powiedziała Stella, patrząc, jak Riley bierze sobie kolejny kawałek placka.

- Zwłaszcza kiedy postawią przed człowiekiem takie smakowitości - wymamrotał z pełnymi ustami Riley. - Co zasadzisz na tym polu, które zaorałem, Harry?

Stella i Harry uśmiechnęli się do siebie.

- Chyba kukurydzę - powiedział z namysłem Harry. - Może trochę grochu, żeby wymienić azot w glebie. Sadzimy tam na własne potrzeby. Trochę tego, trochę tamtego.

- A twoje świnie? - zapytała Jane, dziękując skinieniem głowy Stelli, która dołała jej herbaty z dzbanka. - Ich hodowla wymaga pewnie mnóstwo pracy i czasu.

Pomarszczona twarz Harry'ego spochmurniała.

- To się staje coraz bardziej kłopotliwe - przyznał. - Dnia mi nie starcza. Mam teraz duży kontrakt eksportowy, muszę pilnować terminów, śledzić ceny na rynku, odprowadzać ten nowy podatek nałożony przez rząd...

- Próbowałam się nauczyć obsługi komputera, żeby trochę pomóc Harry'emu - Stella pokręciła siwiejącą głową - ale to nie dla mnie.

- Korzystasz z komputera? - Riley spojrział spod przymrużonych powiek na gospodarza.

- O tyle, o ile. Przychodził tu do niedawna taki jeden młody i trochę mi w tym pomagał, ale teraz wyjechał do miasta. No to wróciłem do starych metod, znaczy do prowadzenia całej księgowości na piechotę.

- To musi być bardzo czasochłonne. - Jane zaświtał w głowie pewien pomysł. Może by tak zaproponować Harry'emu zatrudnienie Simona Cawleya? Simon, jako były bankowiec, powinien się znać na komputerowych programach statystycznych i rachunkowych, a obcowanie na co dzień z przemiłymi Stellą i Harrym mogłoby stanowić przełom, którego mu potrzeba.

Ostrożnie, bez wnikania w szczegóły, zaczęła opowiadać Harry'emu i Stelli o bezowocnych staraniach Simona o pracę w okolicy.

- Pracował w banku - wyjaśniła - a więc niewykluczone, że potrafiłby ci fachowo poprowadzić biuro.

Harry wyraźnie się zainteresował.

- Może nawet lepiej, niż ja to robię. Co ty na to, Stello?

- Spojrzał z uśmiechem na żonę. - Chyba warto spróbować?

- Moim zdaniem, warto. - Stella splotła przed sobą dłonie.

- Lunch miałby u mnie zapewniony.

- Powiedz temu Simonowi, żeby do mnie zadzwonił. - Harry odstawił filiżankę na spodeczek. - Najlepiej wieczorem. Pogadam z nim i może coś z tego wyjdzie.

Mieli już odjeżdżać, kiedy zadzwonił telefon komórkowy Rileya. Riley odszedł na stronę i odebrał. Jane nastawiła ucha. Po krótkiej rozmowie Riley przywołał ją skinieniem ręki.

- To Mayetta - powiedział cicho. - Wody jej odeszły.

- O rany! - Przestraszona Jane przyłożyła rękę do serca. - Jak się czuje?

- Ma lekkie mdłości, ale jest spokojna. Mówi, że skurcze są już silne.

- Wiedziałam, że tak będzie. - Wzięła od Rileya telefon.

- Mayetta, to ja, Jane. Jesteśmy u Jorgensonów, dziesięć minut drogi od ciebie. Zaraz tam będziemy. Słucham? - Ściągnęła brwi. - Co z Brynem? - Parsknęła śmiechem. - Nie wierzę. No nic, już pędzimy, May.

Rozłączyła się i zadzwoniła po karetkę.

- Co się dzieje? - Riley stał przy otwartych drzwiach land - - rovera.

Jane wsiadła.

- Bryn gotuje wodę.

- To ci dopiero! - mruknął Riley, - A co z karetką?

- Prawdopodobnie nie zdążą na czas. - Jane skrzywiła się.
- W soboty mają zwykle pełne ręce roboty, a dzisiaj są na dokładkę wyścigi w Cash's Crossing. Jeden zespół ma tam dyżur, drugi wyjechał do wezwania. Baza obiecała, że jak tylko wróci, wyślą go od razu do Lloydów.

- Jak rozumiem, póki co jesteśmy zdani tylko na siebie?

- powiedział Riley, kręcąc głową.

- Całe szczęście, że zabrałam torbę lekarską. Wspólnie powinniśmy mieć chyba wszystko, czego potrzeba. A May jest zdrowa i silna. - Jane uśmiechnęła się. - To powinien być łatwy poród.

Drzwi domu Mayetty i Bryna Lloydów zastali otwarte.

- Tutaj... - zawołała z pokoju wypoczynkowego Mayetta. Głos miała trochę niepewny.

Jane wbiegła tam i znalazła przyjaciółkę siedzącą na dywanie.

- Wiem, mówiłaś, żebym się wygodnie usadowiła - wydyszała na jej widok przyszła matka. - A ja naprawdę nie mogę się ruszyć i nie ruszę się, choćbyś mi za to płaciła... O mój Boże, ale ścisnęło...

- Umyję tylko ręce, May. Zaraz wracam. - Jane pobiegła do łazienki. Wychodząc stamtąd, zderzyła się z Rileyem. - Znalazłeś Bryna?

- Gotuje z zapalem cztery garnce wody na kuchence - powiedział przyciszonym głosem Riley i uniósł dłoń do ust, żeby ukryć uśmiech. - Poprosiłem go, żeby poszukał jakichś czystych prześcieradeł i ręczników, i włożył je do suszarki, żeby się ogrzały. May dobrze się czuje?

- Jest trochę spanikowana. Pomogę jej przyjąć wygodniejszą pozycję, a ty się tymczasem wyszoruj. Oho! - Uśmiechnęła się, spoglądając ponad jego ramieniem. - Jest Bryn z prześcieradłami.

W pokoju wypoczynkowym komendę objęła Jane.

- Bryn, przykryj prześcieradłem tę kanapę. Oprzemy o nią May. W pozycji pólężącej łatwiej znosić skurcze. Dobra dziewczynka. - Wyciągnęła z torby stetoskop i zaczęła osłuchiwać pacjentkę. - Wygląda na to, że stanie się według twojego życzenia i urodzisz dziecko w domu.

- Jak z nią? - spytał cicho Riley.

Bryn przypomniał sobie nagle, czego go uczono na zajęciach w szkółce rodzenia, chwycił żonę za rękę i zaczął oddychać głęboko, podając jej rytm.

- Ciśnienie pięćdziesiąt pięć na dziewięćdziesiąt. Praca serca płodu miarowa i silna. - Mayetta zaczęła cicho pojękiwać.

- To chyba już.

- Boże, mam wrażenie, że w moim brzuchu zagnieździli się obcy - wysapała Mayetta. - Jesteś p - pewna, że to tylko jedno, Jane?

Jane odgarnęła z czoła przyjaciółki kosmyk wilgotnych włosów i uśmiechnęła się.

- Ultrasonograf nie kłamie. Tej małej osóbcie najwyraźniej bardzo się śpieszy na świat.

Jane uklękła obok Mayetty, by pomóc jej w utrzymaniu pozycji, Riley naciągnął rękawiczki i przygotował się do odebrania dziecka.

- Idzie! - zawołał po chwili z przejęciem, biorąc ostrożnie w dłonie wysuwającą się główkę noworodka. - Teraz przyjdź delikatnie, May... o, właśnie tak. I jeszcze raz... dobra robota.

- Podniósł wzrok i uśmiechnął się. - Mam przyjemność zakomunikować państwu, że wasza rodzina powiększyła się o śliczną panienkę.

- Chcieliśmy, żeby to była dziewczynka. - Mayetta śmiała się, a jej mąż promieniał.

- Czyli wszyscy zadowoleni. - Riley spojrział z uśmiechem na Jane. - Zanotuj godzinę, Janey.

- Już notuję.
- Nie masz mi za złe, że odebrałem poród za ciebie? - spytał niepewnie. - To przecież twoja pacjentka.

Jane pokręciła głową.

- Razem go odebraliśmy. Waga chyba prawidłowa.
- Mhm. - Riley ścisnął w dwóch miejscach pępowinę. - Chcesz dostąpić tego zaszczytu, Bryn - zwrócił się do świeżo upieczonego ojca.

- Ja? - Bryn przełknął konwulsyjnie. - Chcesz... chcesz, żebym odciął pępowinę?

- W połowie odległości między klamerkami - przytaknął wesoło Riley.

- Ogromnie wam obojgu dziękuję. - Oczy Mayetty wypełniły się łzami. Spojrzała na swoją nowo narodzoną córeczkę owiniętą już w ciepły ręcznik. - Bryn robi herbatę. Zostaniecie?

- Do przyjazdu karetki.

- Chcecie mnie wyprawić do szpitala? - Mayette głos się załamał.

- Muszą was dokładnie przebadać i Bryn na pewno się ze mną zgodzi. - Jane musnęła opuszką palca policzek noworodka. - Będziesz w domu z powrotem, zanim on zdąży tu posprzątać. Ja bym się nie zastanawiała.

Mayetta rozejrzała się po zabałaganionym pokoju i zachichotała.

- Biedaczysko. Ale pod koniec dobrze się spisywał, prawda, Jane?

- Bardzo dobrze. - Jane zamrugnęła wzruszona. Wraz z pojawieniem się tego maleństwa szczęście przyjaciółki osiągnęło swą pełnię. Ciekawa była, czy taki cud przydarzy się kiedyś jej i Rileyowi.

- Poszło jak z płatka - skomentował Riley.

Karetka zabrała Mayettę i jej córeczkę do szpitala, a oni wracali do Mt Pryde.

- Tak - mruknęła refleksyjnie Jane. - Jeśli wyniki badań będą dobre, szpital zatrzyma ją tylko na dzisiejszą noc.

- A ty jak się czujesz? - Riley zwolnił, by przepuścić stado krów przechodzące gęsiego przez szosę.

- Świetnie - odparła trochę za szybko Jane, mając świadomość, że wcale tak świetnie się nie czuje.

Riley odchrząknął.

- To dziecko wprawiło mnie w sentymentalny nastrój - powiedziała. - Mayetta pytała mnie już, czy zechcemy zostać rodzicami chrzestnymi. Powiedziałam, że cię spytam.

- Byłbym zaszczycony - odrzekł cicho Riley. - Ale to wielka odpowiedzialność.

- Jeśli podchodzić do tego poważnie.

- Podejrzewasz, że ja podchodziłbym inaczej? - Zaciśnęła gniewnie usta.

- Nie - mruknęła. - Zatrzymaj samochód, Riley - dorzuciła. - Chcę z tobą porozmawiać.

- Tutaj?

- Miejsce tak samo dobre jak każde inne! - wycodziła przez zaciśnięte zęby.

Riley, jeśli nawet zdumiało go jej dziwne zachowanie, nie okazał tego. Spokojnie zjechał na pobocze i zatrzymał auto.

- No, słucham - powiedział. Jane splotła palce.

- Chciałam z tobą porozmawiać o nas...

- Aha. - Riley nachmurzył się. - Co tym razem przeskrobałem?

Przygryzła wargi. Riley nie ułatwiał jej zadania.

- Chcę, żebyś wrócił do domu.

Nie poruszył się. Po chwili milczenia wziął głęboki oddech i powiedział:

- Nie mogę. W głębi duszy wcale tego nie chcesz, Janey.

Prosiłaś o trochę czasu, a ja, zamiast ci go dać, narzucałem się, próbowałem wywierać na ciebie presję. - W jego głosie pojawiła się gorycz. - Zachowywałem się samolubnie, egoistycznie...

- Przestań, Riley. - Jane nie mogła uwierzyć własnym uszom. Boże, co on chce przez to powiedzieć? Że między nimi wszystko skończone?

- Więcej nie będę już na ciebie naciskał, Jane. - Odetchnął głęboko.

Zaparlo jej dech w piersiach.

- Ty wcale nie słuchasz, co ja mówię, Riley - wykrztusiła zdesperowana.

- I tu się mylisz, Jane. - Zapalił silnik i wprowadził land - rovera z powrotem na szosę. - Po raz pierwszy od dłuższego czasu wysłuchałem cię.

Jane cierpiała. Była zła, kiedy Riley wyjechał bez niej z kraju, ale tamto było niczym w porównaniu z tym, co czuła teraz. Świadomość, że jest tak blisko niego, a zarazem tak daleko, rozdzierała jej serce.

Upłynęło już kilka dni od tamtej rozmowy na szosie, a ona wciąż nie mogła dojść po mej do siebie. Jak go przekonać? A jeśli nigdy jej się to nie uda?

Riley uparł się, że całą winę za rozpad ich małżeństwa weźmie na siebie, a w rzeczywistości oboje popełnili błąd, nie idąc na kompromis. A przecież na tym polega małżeństwo.

- Zakuty łeb - mruknęła, masując sobie skronie. Załatwiwszy ostatniego pacjenta zapisanego do niej na to popołudnie, odetchnęła z ulgą i poszła korytarzem do pokoju dla personelu na herbatę.

Bliska łez zatapiała saszetkę w napełnionym wrzątkiem kubku. Zwykle lepiej sobie radziła z przeciwnościami losu. Gdzie się ostatnio podziła jej wewnętrzna siła? Ta

determinacja, która pomogła jej przebrnąć przez ciężki kierat studiów medycznych?

Wrzuciła do kosza zużytą saszetkę i kręcąc ledwie zauważalnie głową, uniosła do ust kubek. Herbata była wstrętna. Ściągnęła brwi i spojrzała na opakowanie, z którego wyjęła torebkę. Boże, z tego wszystkiego zaparzyła sobie herbatkę ziołową Trishy.

Z ciężkim westchnieniem wylała zawartość kubka do zlewu. Dlaczego ostatnio nic jej się nie udaje?

Zrezygnowała z herbaty i wyszła z pokoju dla personelu. Na korytarzu przystanęła i spojrzała w kierunku rejestracji. Może tak się złożyło, że Riley też skończył wcześniej. A gdyby tak wtargnąć do jego gabinetu i zmusić go, by ją wreszcie wysłuchał? Przywiązać do krzesła, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Uśmiechnęła się smętnie. Czy na pewno warto próbować? Ruszyła zdecydowanie w kierunku rejestracji, ale po paru krokach zatrzymała się jak wryta i oparła o ścianę. Riley wychodził ze swego gabinetu, otaczając ramieniem uderzająco piękną blondynkę, która niemal dorównywała mu wzrostem

- Do jutra, Vick. Idziemy z Savannah na drinka. Dawno się nie widzieliśmy, musimy to nadrobić.

Jane serce omal nie wyskoczyło z piersi. Savannah? Ogarnęły ją mdłości. Poderwała rękę do ust w obawie, że zwymiotuje, i zawróciła do swojego gabinetu.

Nie miała pojęcia, jak długo siedziała za biurkiem, trzymając się za głowę. Straciła zupełnie poczucie czasu. Ale w końcu zdecydowała, że aktualna sytuacja wymaga spokojnego, racjonalnego podejścia. Przede wszystkim musi się jakimś sposobem dowiedzieć, kim jest ta Savannah i co ją łączy z Rileyem.

Podniosła się z fotela, wzięła torebkę, zamknęła drzwi gabinetu i szybkim krokiem wmaszerowała do rejestracji.

- Cześć, Jane. - Vicki kończyła właśnie sporządzenie dziennego raportu. - Jeśli szukasz Rileya, to niedawno wyszedł.

Jane odetchnęła głęboko, żeby uspokoić skołatane nerwy.

- Naprawdę?

- Szkoda, że nie widziałaś jego przyjaciółki. - Vicki zatrzepotała długimi rzęsami.

Jane chciała coś powiedzieć, ale słowa więzły jej w krtani.

- Głodziłabym się całe życie, żeby mieć jej figurę - zachichotała Vicki. - Czekaając tu na Rileya, powiedziała mi, że byli razem w Nigerii. Chyba też jest lekarzem. - Vicki zmarszczyła czoło. - A może pielęgniarką... Ma na imię Savannah.

Jane ciemne plamy wirowały przed oczami. Wiedziała, że musi stąd szybko wyjść, bo zaraz zrobi z siebie idiotkę i zacznie wyć albo rzucać czym popadnie.

- Vicki - przerwała rejestratorce, spoglądając na zegarek. - Muszę złapać Leanne Cawley, zanim zamknie sklep. Jutro mi opowiesz:

Nabierała wprawy w spychaniu wszystkiego na dno podświadomości i koncentrowaniu się na tym, co miała do zrobienia. Ale za każdym razem przychodziło jej to z coraz większym trudem. Zaparkowała pod sklepem ogrodniczym i weszła do środka.

- Przepraszam, że tyle czasu zajęło sprowadzenie tych pnących róż dla ciebie - powiedziała Leanne. - Ale musieliśmy je zamówić w specjalistycznej szkółce aż w Victorii. Przyszły dopiero dzisiaj. Miałam właśnie do ciebie dzwonić.

- Dziękuję. - Jane odgarnęła na bok pęd kwitnącego jaśminu i oparła się o półkę. - Właściwie to nie przyszłam po te róże, Leanne. Chciałam zapytać, czy masz jakiś numer telefonu, pod którym mogłabym się skontaktować z Simonem.

Pod tym, który mamy zapisany w przychodni, nie mogę go złapać.

Leanne zastygła z sekatorem w ręku.

- Chyba nic się nie stało? Nie zgłosił się na badanie, czy... ?

- Nie, nic z tych rzeczy. - Jane uśmiechnęła się ciepło. - Chciałam go tylko zapytać, czy znalazł już może pracę.

- Jeszcze nie. - Leanny posmutniała. - To znaczy, miał jedną na widoku... - Ściągnęła rękawice i rzuciła je na stolik obok doniczki. - Chodźmy do biura, tam porozmawiamy. Zaparzę herbatę.

- Nawet nie wiesz, jak mi tego brakowało. - Jane upiła łyżeczek gorącej, aromatycznej herbaty.

- Dobrze się czujesz? - Leanne spojrzała na nią badawczo. - Jesteś jakaś blada. Chyba nie złapałaś jakiegoś choróbka?

- Mam ostatnio trochę zmartwień. - Jane wzruszyła ramionami. Ani myślała zwierzać się komukolwiek ze swoich zgryzot. To były sprawy między nią a Rileyem. - Miałaś mi powiedzieć, czy Simonowi udało się znaleźć pracę.

- Szkoła podstawowa poszukuje kandydata na drugiego woźnego konserwatora.

Jane ściągnęła brwi.

- Tak, to chyba niezła posada, ale czy odpowiednia dla kogoś z kwalifikacjami Simona?

Leanne wzruszyła ramionami.

- I tak by jej nie dostał. Władze oświatowe prześwietlają teraz każdego, kto ubiega się w tym resorcie o pracę...

- O ile rozumiem, obawiasz się, że nie przyjęliby go z powodu tego zakazu zbliżania się do rodziny i interwencji policji, tak?

- Z takimi plamami na życiorysie Simon nie jest najlepszym kandydatem do pracy w szkole. - Leanne wstała i

odniosła swój kubek do zlewu. - To będzie się za nim teraz ciągnąć przez całe życie. Przez ten mój pozew.

- A miałaś wyjście? - spytała Jane. - Musiałaś wtedy chronić jakoś siebie i Jamesa. Kto wie, do czego by doszło, gdybyś tego nie zrobiła. Tak czy inaczej, słyszałam o posiadce, która mogłaby Simona zainteresować. Gdybyś więc podała mi numer, pod którym można go złapać...

- Wprowadził się z powrotem do nas. - Leanne zarumieniła się lekko.

- O! - Jane odstawiła powoli kubek.

- Tak będzie najlepiej, pani doktor. Jane skrzywiła się.

- A gdzie Jane? Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami. Leanne odwróciła wzrok.

- Nie miałam pewności, czy to pochwalisz. Ale Simon się zmienił i wybaczyliśmy sobie...

- A to najważniejsze. - Jane spuściła oczy. Gdyby tak jej małżeńskie problemy dały się w taki prosty sposób rozwiązać. Przywołała na wargi uśmiech. - To chcesz posłuchać o tej propozycji pracy?

Leanne pokiwała energicznie głową. Jane wyjaśniła jej pokrótce, czym miałyby się zajmować Simon na farmie Harry'ego Jorgensona, i dodała:

- Jorgensonowie to bardzo sympatyczni, uczciwi ludzie, Leanne. Simon dobrze by się z nimi czuł.

Leanne kiwnęła głową.

- Rozumiem, co masz na myśli. Bardzo ci dziękuję, Jane. Lecę zaraz do domu, powiem Simonowi. Na pewno jeszcze dzisiaj zadzwoni do pana Jorgensona.

- Mam nadzieję, że to wypali. - Jane wstała.

- Och... zaczekaj. - Leanne rzuciła się do drzwi. - Twoje róże!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wstając następnego ranka z łóżka, Jane wiedziała już, co powinna zrobić.

Kiedy jednak wprowadzała samochód na swoje miejsce parkingowe przed przychodnią, serce biło jej w piersiach jak szalone. Przyjechała o wiele za wcześnie, ale takie posunięcie obejmował jej plan. Na nogach jak z waty weszła po schodach prowadzących do służbowego mieszkania Riley'a nad przychodnią.

Zapukała i czekała. Otworzył po paru sekundach. Na jej widok zrobił wielkie oczy.

- Jane... Coś się stało? Zdobyła się na nikły uśmiech.

- Chciałam się tylko z tobą zobaczyć, zanim na kolejny dzień pograżymy się w wirze pracy. - Ścisnęła z całych sił pasek torebki.

- Wejdz.

- Dzięki. - Z niejasnym poczuciem winy weszła za nim do kuchni. Czyżby spodziewała się podświadomie, że przyłapie go z inną? Jeśli tak, to się mile rozczarowała. Był sam, już po kąpieli, ogolony i ubrany do pracy.

- Kawy?

Jane pokręciła głową.

- Przed wyjściem z domu piłam herbatę, dzięki.

- To przynajmniej usiądź. - Riley podsunął jej wysoki kuchenny stółek. - Dobrze cię widzieć, Janey. - Patrzył na nią ciepło, jego ciemne oczy zaśniły.

Oblizwała wargi, zbierając się na odwagę, by powiedzieć to, co przyszła powiedzieć.

- Wiesz, że Julia pracuje już w piekarni? - Riley wrzucił do kubka kostkę cukru i przeniósł go na kuchenny stół.

Jane uderzył w nozdrza aromat świeżo parzonej kawy.

- Mhm. A mieszka u Anny Lewellen, uroczej starszej pani, która ma duży dom i wielkie serce. Przygarnęła Julię

razem z dziećmi pod swoje skrzydła. Ale tylko czasowo, dopóki Julia nie stanie mocno na nogi i nie znajdzie sobie własnego lokum.

- Jane uśmiechnęła się. - Mówiła mi nawet, że chce wrócić do szkoły.

Riley uniósł kubek do ust.

- Odnoszę nieodparte wrażenie, że to ty za tym wszystkim stoisz, Janey. Dobra robota. Julia wyglądała mi na szczęśliwą.

- Wiesz, że nie lubię spraw nie doprowadzonych do końca.

- Miała nadzieję, że te słowa zabrzmiały w jego uszach jak wyzwanie. - Jak się udał wczorajszy wieczór?

Riley wyprostował się i spojrzał na nią spod przymrużonych powiek.

- Vicki ci powiedziała?

- Na imię miała, zdaje się, Savannah. - Jane siła się na obojętny ton. - A Vicki nie musiała mi niczego mówić, bo sama widziałam. Byłeś tak zaaferowany, że nawet mnie nie zauważyłeś.

Odchrząknął z niesmakiem.

- To nie tak. Jak możesz podejrzewać, że spotykam się z inną?

- Wisiałeś na niej! - warknęła.

- Czujesz się aż tak zagrożona? - odparował szorstko. - Jeśli chcesz wiedzieć, to Savannah wchodziła w skład naszego afrykańskiego zespołu. Byliśmy tam wszyscy tak daleko od domu, tak zależni od siebie nawzajem, że się do siebie zbliżyliśmy. Ale nie aż do tego stopnia...

Rozgniewana uniosła głowę.

- To co tu robiła? Mt Pryde trudno nazwać metropolią. Jeśli tu przyjechała, to specjalnie do ciebie!

Riley zacisnął mocno usta.

- Dziadkowie Savannah mają tu niedaleko posiadłość. Właśnie ich odwiedzała. Na ostatnim spotkaniu koleżeńskim wymieniliśmy się wszyscy aktualnymi adresami, a więc to całkiem naturalne, że wpadła do mnie w drodze powrotnej do Brisbane, a przynajmniej ja tak uważam - dodał z nutką sarkazmu i potrząsnął głową. - Ty rzeczywiście widzisz we mnie łajdaka, prawda, Jane?

- Ja... - wykrztusiła. - Ja... się tylko zastanawiam, gdzie ty masz głowę, Riley.

- Jak mogłaś? - Złagodniał, gniew mu chyba przeszedł. - Sam słabo siebie znam. Wiem tylko tyle, że po powrocie popełniłem wiele błędów.

- I w tym właśnie rzecz! Nie tylko ty, Riley! Oboje je popełnialiśmy! Dlaczego tego nie dostrzegasz? - Zauważyła, że Riley zaciska usta i zmobilizowała całą swoją odwagę. - Przyszłam tu dzisiaj powiedzieć ci, że chcę być znowu z tobą, mieszkać z tobą pod jednym dachem, spać w tym samym łóżku...

Patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Jesteś tego pewna, Janey?

- Jestem. Bardziej pewna już być nie mogę, Riley. - Wargi zaczęły jej drżeć, głos się łamał. - Kocham cię i będę kochała do końca życia.

- Och, moja Janey... - Zeskoczył ze stołka i porwał ją w ramiona.

- Przytul mnie mocno, Riley. - Jane zarzuciła mu ręce na szyję.

Po chwili odsunął się i spojrzał na nią z góry.

- Przepraszam za wszystkie przykrości, jakie ci sprawiłem swoimi działaniami. - Delikatnie założył jej za ucho pasemko włosów.

- Ja również mogłam być bardziej wyrozumiała. - Zawiesiła na moment głos, a potem powiedziała: - Okropne były te ostatnie dni przed twoim wyjazdem, prawda?

- Miałem ochotę skończyć z sobą. - Spojrzał na nią poważnie, w jego oczach malował się ból. - Do ostatniej chwili, nawet kiedy siedziałem już w samolocie, łudziłem się, że zmienisz jeszcze zdanie i polecisz ze mną.

- A ja myślałam, że nie możesz się już doczekać, kiedy znajdziesz się daleko ode mnie - przyznała. - Że uważasz nasze małżeństwo za jeden wielki błąd. Czułam się taka do niczego, kiedy nie udawało mi się zająć w ciążę.

- Ty do niczego?! Nie mogę w to uwierzyć. - Riley przetarł dłonią oczy. - To ja uważałem, że nie jestem już w stanie cię uszczęśliwić.

- Och, Riley... - Usta wygięły się jej w podkówkę. - Ależ byliśmy głupi.

- Z tym już koniec. - Pogładził ją po policzku. - Od tej chwili rozmawiamy ze sobą otwarcie, nawet gdyby miało nas to kosztować życie.

Jane parsknęła śmiechem.

- Szkoda by nas było. - Spoważniała. - Ale obiecuję, że będę wobec ciebie otwarta.

- A ja wobec ciebie - zadeklarował z przekonaniem.

- Przepraszam za... za tę moją obsesję na punkcie urodzenia dziecka, która odsunęła w cień wszystko inne. Nic dziwnego, że czułeś się jak w potrzasku. - Pokręciła głową.

- Nie powinnam myśleć tylko o sobie.

- Teraz lepiej rozumiem twoje pragnienie zostania matką - rzekł z naciskiem. - Sądzę, że z nas dwojga to ja musiałem wyorośleć.

- Chcesz przez to powiedzieć, że nie masz już nic przeciwko temu, żebyśmy mieli dziecko?

- Nic a nic. - Przyciągnął ją znowu do siebie.

- Nawet nie wiesz, jak ja cię kocham, Riley. - Przesunęła palcem po jego wargach.

- Ja też cię kocham... do bólu.

Na widok łez płynących po policzkach Jane, zaniepokojony Riley szybko podał jej chusteczkę.

- To do ciebie niepodobne, Janey. Na pewno dobrze się czujesz?

Osuszyła twarz i spojrzała na niego wilgotnymi oczami.

- To chyba przez ten stres, w którym żyję od paru tygodni.

- Zmiała chusteczkę w małą kulkę. - Jutro są twoje urodziny.

- Przełknęła z trudem. - Może wybralibyśmy się gdzieś uczcić nasze pojednanie?

- Już się nie mogę doczekać. Prawdę mówiąc, to... - Nie wypuszczając jej z objęć, sięgnął po słuchawkę stojącego na kuchennej szafce telefonu. - Muszę coś bez zwłoki załatwić - wyjaśnił.

- Do kogo dzwonisz? - spytała Jane. - I po co?

- Do Ralpa. - Riley cmoknął ją w czubek nosa. - A po co? Żeby go uprzedzić, że dzisiaj spóźnimy się trochę do pracy. Ważne sprawy rodzinne.

- Aha... - W oczach Jane pojawiło się wahanie. - Ale przecież wszyscy się domyślą...

Uśmiechnął się do niej szeroko, zupełnie jak za starych dobrych czasów.

- Obchodzi cię to?

Jane pokręciła głową i uświadamiając sobie, że nic a nic jej to nie obchodzi, też się uśmiechnęła.

- Nie ruszaj się, proszę. - Wstał z łóżka i zaczął wciągać dżinsy.

Jane obserwowała go z rozbawieniem.

- Dokąd się wybierasz?

Konspiracyjnym gestem dotknął nosa i zniknął za drzwiami. Nie było go dłużyj czas. Wrócił z tacą, postawił ją na nocnym stoliczku, a potem nachylił się nad Jane i pocałował ją w usta,

- Szampana niestety nie mam, ale za to przyniosłem wodę mineralną.

Jane usiadła na łóżku.

- Co tam tak długo robiłeś. Co to jest?

- Serek kremowy i krakersy. Kawa. I trochę truskawek z twojego ogródka.

Jane zamruwała.

- A umyłeś je chociaż?

- I wytarłem papierowym ręcznikiem. - Uniósł brwi. - Dobrze zrobiłem?

- Idealnie. - Objęła go za szyję i przyciągnęła. - Będzie jeszcze z ciebie ogrodnik, doktorze Brennan.

Riley usiadł obok niej na łóżku.

- A teraz wzniesiemy toast wodą mineralną. - Podał jej kieliszek. - Za nowy początek?

- Za nowy początek - powtórzyła za nim Jane i wypła do dna.

EPILOG

Przyjęcie z okazji chrzcin trwało w najlepsze.

- Jeszcze jedno, ostatnie. - Vicki przyjęła na siebie rolę oficjalnego fotografa. - Riley, obejmij Jane i patrz na dziecko. Uwaga, proszę o przyjemny wyraz twarzy... Wspaniale!

W południowo - wschodnim Queensland kończył się wrzesień, był ciepły, słoneczny, zimowy dzień, a goście zebrani w przydomowym ogrodzie Rileya i Jane tłoczyli się przy bufecie rozstawionym pod markizą na trawniku od frontu.

- Może pójdziesz do domu ją nakarmić, Janey? - Riley patrzył z góry na swoją ośmioletnią córeczkę spoczywającą na kolanach matki i zastanawiał się, czy kiedykolwiek przestanie pękać z dumy, że jest jej ojcem.

Musiał obiektywnie przyznać, że takiego pięknego dzidziusia jeszcze nie widział. Malutka, idealnie ukształtowana buzia, malutkie różane usteczka i oczka tak podobne do matczynych.

- Za chwilę to zrobię. - Jane uśmiechnęła się do męża. - Ale przedtem napiłabym się herbaty.

- Zaraz ci przyniosę.

- Posiedź z nami trochę. - Jane poklepała dłonią stojące obok ogrodowe krzeselko. - Nasza córeczka wygląda na zadowoloną z życia.

Miesiące ciąży Jane były chyba najszcześniejszym okresem ich małżeństwa. Zbliżyli się bardzo do siebie i Riley wspaniale ją wspierał podczas porodu.

- Piękny mamy dzień, prawda?

Kiara Rose Brennan została ochrzczona tego niedzielnego poranka o dziesiątej trzydzieści w małym kamiennym kościółku pod wezwaniem Świętego Franciszka z Asyżu w obecności rodziny i zaproszonych przyjaciół.

- Tak, przepiękny. - Riley uśmiechnął się błogo. - Mogę ją potrzymać? - Wziął od Jane dziecko. - Cieszę się, że Carol przyjechała zobaczyć wnuczkę.

- Ja też. - Jane spojrzała na matkę pogrążoną w ożywionej rozmowie z Natalie Brennan. W jasnoszarym kostiumie z futrzanym kołnierzem wyglądała młodo i rześko. Jane nigdy jej takiej nie widziała. Może poznała kogoś...

- A oto i rodzice chrzestni. - Riley pomachał do Mayetty i Bryna, którzy szli przez trawnik w ich kierunku, prowadząc między sobą malutką Sophie.

Jane roześmiała się.

- Ciekawe, czy Kiara też zacznie stawiać pierwsze kroki tak wcześnie jak Sophie?

Riley spojrział z czułością na córeczkę.

- Poczekamy, zobaczymy.

Jane nie posiadała się ze szczęścia. Miała przyjaciół i rodzinę. Miała męża, który bezgranicznie ją kochał, i piękną córeczkę. Była w siódmym niebie.